ROK IV. WRZESIEŃ TOM IX (XXXIX).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

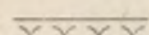
Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

Agencya w Łodzi: przy księgarni Władysława Kaczmarka, ulica Piotrkowska Nr. 107.

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 августа 1904 года.

Treść tomu IX, wrześniowego 1904 r., ogólnego zbioru XXXIX.



ILLUSTRACYE:



Błogosławieństwo Ojca Świętego Piusa X, najmiłościwiej udzielone redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego."

Dzielimy się z drogimi Czytelnikami najradośniejszą wiadomością, jaka nas w życiu spotkać mogła. Oto Ojciec Ś-ty Pius X, z wysokości

Stolicy Piotrowej, udzielił redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” swego Apostolskiego błogosławieństwa; podany sobie rocznik pisma wziął w swe najdostojniejsze dłonie i patrząc nań, wyrzekł: „Błogosławię!”

To wielkie dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego” i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na czytelników.

Dzieląc się tą radością naszą ze wszystkimi, którzy „Dzwonek Częstochowski” czytają, uważamy ją, jako dowód dla nas łaski Bożej i Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej.



Ojciec Marek Aviano.

W Wiedniu odbył się szereg wspaniałych uroczystości kościelnych, z powodu zaliczenia w poczet Błogosławionych Ojca Marka Aviano, Kapucyna. Mąż ten żył w XVII stuleciu, uczestniczył w słynnej wyprawie króla Jana Sobieskiego pod Wiedeń i przepowiedział mu zwycięstwo. Uroczystości wiedeńskie rozpoczęły się w kościele Ojców Kapucynów solennem nabożeństwem, podczas którego osobę cesarza Fraciszka Józefa przedstawiał arcyksiążę Leopold Salvator.

Ojciec Marek Aviano, Włoch rodem, już za życia miał łaskę czynienia cudów, a także jasnowidzenia. Z oblicza jego i zgoła z całej postaci, tchnęła owa niepokalaność ducha, która jeno wybrańcom Bożym przypada w udziale. Roztaczał też .dokoła urok świętości, ujarzmiając grzech, nawracając zbłąkanych, skłaniając ich do pokuty i poprawy. Idąc śladem Jana Chrzciciela, prostował ścieżki Pańskie, głos jego przenikał do serc, kruszył je i zwracał do Boga. Był niestrudzonym w tępieniu herezyi. Kazał porywająco. Głosząc Słowo Boże, wpadał w zachwycenie, odsłaniał przyszłość, a przepowiednie jego wiernie się spełniały. Papież Inocenty XI uznawał w nim świętego wybrańca nieba, zaszczycał go przyjaźnią i ufnością, powierzał mu ważne do przeprowadzenia sprawy. Gdy Turczyn z siłą potężną obległ Wiedeń, grożąc, wrazie zdobycia tej stolicy, zalewem całej Europy, Papież Inocenty wysłał Ojca Marka Aviano, aby podniósł ducha wojskom, które miały się zetrzeć z pogaństwem. Świętobliwy mąż dopełnił trudnego polecenia, odtąd też imię jego zapisało się trwale na kartach dziejów.

Okoliczność, że Ojciec Aviano uczestniczył w wyprawie wiedeńskiej, a także wzgląd, że właśnie w miesiącu bieżącym przypada rocznica tej wyprawy, skłaniają nas do przypomnienia o niej czytelnikom, a to według opowieści Mikołaja Dyakowskiego, który również w niej uczest-

niczył, jako pokojowiec króla Sobieskiego. Opowieść jego jest niezmiernie ciekawa, zawiera mnóstwo szczegółów przez innych relatorów pomijanych, będzie więc dla czytelnika nowością. Uprzedzamy, że dajemy ją w streszczeniu, lecz z dodaniem z innych źródeł kilku wiadomości, dotyczących Ojca Marka Aviano.

Z pod Krakowa—tak opowiada Dyakowski — ruszyło wojsko na Tarnowskie góry, Opawę i Ołomuniec, traktem ku Wiedniowi, gdzie prowianty obfite były dla nas nagotowane i magazyny założone, co 4 mile przez ziemię cesarską. Przy każdym magazynie była szopa budowana, pełna owsów, chleba ledwie nie z pieca prosto wyjętego, bydeł, baranów trzodami, sian strasznemi stertami, piwa beczkami; do tego przy każdej szopie stało kilka tysięcy bryk, w których po pięć, po sześć koni gotowych dla rozwożenia prowiantów. Jakżeśmy się gdzie przybliżali ku magazynowi któremu, to, podług zwyczaju, obożny szachownice zatykał dla zatoczenia wojska, które się zawsze lokowało przed magazynem z prowiantami. Naprzód stanowiczy królewski odebrał na dwór królewski, potem na dwory hetmańskie, dopiero na pułk królewski, na pułki hetmańskie, na pułki różnych panów, na przednią straż, na piechoty i t. d., to zaś wszystko wydawano z regestru, który już był pierwej, nim wojsko przyszło, do każdego magazynu podany. Tego zaś prowiantu taka obfitość była, żeśmy musieli połowę na każdym noclegu zostawiać. Potem już, ku Wiedniowi, skorośmy minęli miasteczko Berno, nie mogli Niemcy wystarczyć dawać nam prowiantów, a to z powodu zniszczenia kraju przez Tatarów.

I tak ciągnęliśmy do Dunaju, ku Tulnu miasteczku, natenczas wcale zburzonemu. Tam mosty gotowe, na czajkach robione, zastaliśmy, po których w przeciągu dwóch dni przebyliśmy Dunaj, bo tak porządne te mosty były, że dwiema liniami wozy po nich szły. Zastaliśmy tam wojska cesarskie i posiłki elektora. Tego wojska więcej się nie rachowało nad 70 tysięcy, stało zaś ono o pół mili od Tulna, na kępie. Od tej kępy szedł most rzeczony na czajkach, a przed mostem dana była baryera, to jest szaniec, w którym 2 tysiące zostawało piechoty z kilkoma armatami, dla wszelkiej ostrożności od nieprzyjaciela, który gdyby napadł, to piechota cofnęłaby się na kępę, nie wszczynając walki.

Tam właśnie zaprezentował się królowi Sobieskiemu Ojciec Marek Aviano, o czem sam król zawiadomił listownie małżonkę swoją temi słowy:

„Myśmy dzień wczorajszy, 6-go września, tu, pod Tulnem, strawili na nabożeństwie, gdzie nam dawał Ojciec Marek Aviano błogosławieństwo. Umyślnie tu przysłany imieniem Ojca Ś-go, komunikował nas z rąk swych, Mszę miał i ekzortę niezwyczajnym sposobem, bo pytał:—

Jeśli macie ufność w Panu Bogu — a gdy odpowiedzieliśmy mu wszyscy, że mamy, to kazał razy kilka za sobą mówić głosem: — Jezus, Marya! Jezus, Marya! — Mszę miał z dziwnem nabożeństwem. Prawdziwie to jest człowiek złączony z Panem Bogiem, nie prostak i nie bigot. Był u mnie na audyencyi więcej nad pół godziny. Powiadał, co mówił z cesarzem prywatnie, jako przestrzegał, napominał, pokazował, dlaczego Pan Bóg te tu teraz kraje karze. Na wojnę mu samemu iść, ani się tu zbliżać nie kazał. To też kiedy wczoraj rozgłoszono, że cesarz jedzie, on tylko uśmiechał się a głową pokazował, że nie. Jakoż była to finta (plotka)".



Jan Sobieski, udając się pod Wiedeń, z synem swoim, królewiczem Jakubem, żegna się z żoną, królową Maryą Kazimierą, w Tarnowicach, wsi śląskiej.

Skoro się tedy wojsko nasze i król przeprawił, przyjechał wojska cesarskiego wódz naczelny, książę bawarski, z innymi elektorami (elektorami nazywano dawniej panujących książąt niemieckich, którzy mieli prawo wybierania cesarza) i przedniejszymi jenerałami, aby powitać króla. Zaraz też odbyła się rada wojenna, na której zaprezentował król elektorom rozporządzenie cesarza (austryackiego), iż pod jego (Sobieskiego) komendą zostawać mają, co elektorowie przyjęli usty, ale sercem nie, a najbardziej sprzeciwiał się temu książę saski, mówiąc:

— Co potem azardować się osobie królewskiej i w takie się niebezpieczeństwo wdawać, a uchowaj Boże przegranej, toby nieprzyjaciel większy tryumf miał, że w okazyi był sam król i komenderował wojskiem, a przecież przegrał. A gdyby przegrał przy naszej komendzie, to powiedziałby sobie, że jest jeszcze cesarz i król polski.

Rada wojenna długo w noc się przewlekła a jeszcze onej nie skończono. Gdy elektorowie z jenerałami do obozu swego na kępę odjechali, rzecze król do swojej starszyzny:

— Panowie Niemcy rozumieli, że na mnie, jak na dudka, trafili, iż się nie znam na sobie. Jeżeli oni jutro do mnie z tem przyjdą, z czem się dziś rozjechali, a przy oporze stać będą, to ja im zagram z innego końca i z wojskiem nazad rejterować się będę, a już nie będę ich o prowianty prosił, ale sobie sam wezmę i choćby też po nieprzyjacielsku sobie postąpię, kiedy mnie tu sprowadzili.

Doszły słowa królewskie do elektorów i mocno ich wystraszyły, więc nazajutrz w innej się figurze pokazali, komendę królewską przyjęli, do króla woli się stosowali. Król zaraz wydał ordynans (rozkaz), aby się cesarskie wojska z kępy ruszyły, wraz z naszem polskiem, co też tego dnia się stało, i zatoczyli swój obóz blizko naszego. A tymczasem poczęli stoły nakrywać u króla, do których król prosił elektorów i jenerałów przedniejszych. Niemców ochoczo traktowano, wina był dostatek, po uczcie zaś każdy elektor otrzymał konia bardzo pięknego. Konie owe oddawał Gordon, koniuszy nadworny. Gdy wstano od stołu, król rzekł do elektorów:

— Musicie waszmość panowie mieć języka (wiadomość) o nieprzyjacielu, bo stąd mamy tylko dziesięć mil do Wiednia? Musieliście przecież wysyłać podjazdy?

Elektorowie na to:

— Jakże mamy wysyłać podjazdy? Chyba po to, żebyśmy, jeśli nie wszystko, to przynajmniej połowę wojska stracili?

A król:

— Jakim to sposobem może być, żeby się wojsko przez podjazdy wygubiło?

Elektorzy zaś:

— Posłaliśmy jednego jenerała z 3 tysiącami dragonii, a wrócił jeno kapral z kilku żołnierzami, reszta zginęła, spotkawszy tylko 500 Turków.

Wówczas król przywołał Romana Ruszczyca i Damiana Szumlańskiego, lekkiej chorągwi rotmistrzów i rzekł do nich:

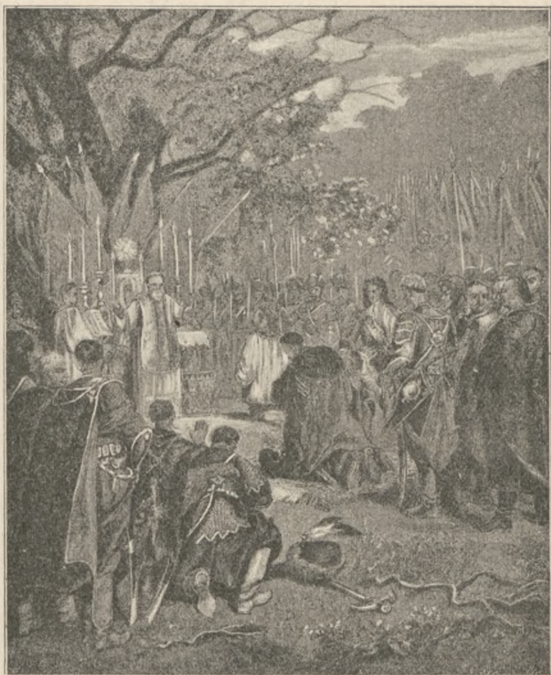
— Weźcie waszmość, każdy z osobna, po 100 koni dobrych z przedniej straży, bo pojedziecie na podjazd.

Z kolei zwrócił się do hetmana wielkiego:

— Każ im waćpan dać ordynans i surowo przykaż, żeby się języka starali. A niechaj się wracają we 24 godzinach. Wszak stąd tylko 10 mil do Wiednia, to na dobrych koniach mogą się obrócić, bo rzecz nie cierpi zwłoki.

I znów rzekł król do wspomnianych rotmistrzów:

— Przyjedźcie tu wprzód z tymi ludźmi przed namiot, żebym ich widział.



Ojciec Marek Aviano odprawia Mszę ś-tą przed rozpoczęciem walnej bitwy.

Więc ci, zebrawszy ludzi, przyjechali przed namiot królewski, a wodzowie niemieccy szeptali do siebie:

— Na zgubę król tę garstkę ludzi posyła. Nasz podjazd we 3 tysiące poszedł i zginął.

Aż tu mało co nad 24 godziny przeciągnęło się, dają znać do obozu, iż podjazdy wracają z językiem. Zaraz się to rozgłosiło i doszło do niemieckiego wojska, dopieroż starszyzna niemiecka przyjechała dziwować się, bo Ruszczyc przyprowadził 13 Turków. Szumlańskiego zaś, gdy

już wracał, napadł podjazd turecki, ale Szumlański ten podjazd rozproszył, 7 janczarów przyprowadził. To źle, iż Turcy w pępek go postrzelili śmiertelnie. Umarł nieborak czwartego dnia, pochowano go pod Tulnem. Dziwna to rzecz była Niemcom bardzo, ponieważ im się nie trafiło, jako sami powiadali, ani razu dziesięciu bodaj Turków razem uchwycić. Dziwowali się, co to za ludzie ci Polacy...

Nazajutrz zaraz łapają w namiotach królewskich szpiega Wołoszyna, od samego wezyra przysłanego, który doskonale umiał po polsku, bo dawniej u dworzanina królewskiego służył. Ten szpieg takim sposobem dostał się do naszego obozu: Naprzód przyjechał do przedniej straży naszej i zostawił konia u Wołochów, których natenczas w służbie naszej była siła pod lekkiemi chorągwiami; następnie udał się pieszo do namiotów królewskich, bo taki miał przykaz, żeby w twarz króla widział, jeżeli się w osobie swojej znajduje. Trzeba bowiem wiedzieć, że han tatarski, Selim Gierej, przyjaciel i pobratym wielki króla, przyjechał temu dni dwa czy trzy do wezyra i rzekł mu:

— Otom się dowiedział przez szpiegów, że król polski w osobie swojej przeprawia się pod Tulnem przez Dunaj.

Wezyr przeczył temu, mówiąc:

— Czy to podobna, żeby król polski miał być w osobie swojej? Przecież traktaty z nami trwają. Fałsz to jest. Szpiegowie może widzieli chorągwie polskie, które Lubomirski za pieniądze cesarza austryackiego wynajął.

Ten zaś Lubomirski, który potem był kasztelanem i hetmanem, na tę wojnę miał 4 tysiące ludzi, zaciągnionych za cesarskie pieniądze, pod swoją komendą i apart sobie zawsze chodził, a gdzie mógł, to urywał Turków i zanimeśmy przyszli, już znaczne partye tureckie poznosił.

Wezyr tedy i han, chcąc się upewnić, czy król polski we własnej osobie ciągnie z odsieczą Wiedniowi, wysłali szpiega. A on szpieg, przybywszy do namiotów królewskich w sam obiad, gdy już król siedział u stołu (obiadował zaś król najmniej w 50 osób), począł przezierać i snować się pomiędzy ludźmi królewskimi, w twarz królewską jako w tęcz patrząc się. Co spostrzegłszy niektórzy, zaczęli pytać jeden drugiego:

— Czyj to i co za człowiek?

Ale gdy go żaden nie znał, przeto poszedł jeden do warty, do oficera gwardyi, który paradę trzymał przed namiotami królewskiemi, powiadając:

— Jakiś nieznajomy pląta się w namiocie królewskim, a w oczy zagląda królowi...

Oficer rzekł:

— Dyabeł wie, czyli nie szpieg jaki. Pokaż mi go, spytam się, co za jeden.

A gdy mu pokazano, kiwnął oficer na niego:

— Proszę do siebie.

Skoro się zbliżył, tak go za ramię uchwycił oficer i huknie z góry:

— A ty pogański synie, poznałem cię — szpieg jesteś!

Tamten odparł ze strachu:



Dwaj książęta niemieccy rzucają, z polecenia króla Sobieskiego, losy o to, który z nich ma pierwszy uderzyć na Turka.

— Tak jest, prawda, mości dobrodzieju.

Zaraz go wzięto pod wartę i zawiadomiono o nim króla. Król, skończywszy obiad, kazał go przyprowadzić i temi słowy go powitał:

— A to ty, hultaju, od tureckiego wojska szpieg?

On z wielkim strachem odpowiada:

— Prawda, mości królu.

Król pyta:

— Któż cię posłał?

Tamten odparł, że wezyr.

Król widząc człowieka strwożonego, łaskawie do niego mówić począł:

— Nie bój się, mówięć to królewskiem słowem, że ci i włos z głowy nie spadnie, ani cię żadna kara spotka.

Kazał go odprowadzić do koniuszego swego Gordona i warty mu nie przydawać. Nadmienił jeszcze:

— Niech go nakarmią i wina mu dadzą. Nie na bisurmany trafił, ale między chrześcijany. Tak rozumiem, że i sam chrześcijaninem jesteś?

Odpowiedział Wołoszyn:

— Prawda, mości królu.

Przyniesiono mu tedy jeden i drugi półmisek, wina dano (król łaskawie kazał go traktować, aby go strach odszedł). Skoro się ośmielił, król znów go zawołał i mówi do niego:

— Jakom ci powiedział pierwej, że ci nawet włos z głowy nie spadnie, tak powtarzam i teraz. O co cię będę pytał, bezpiecznie, śmiało odpowiadaj. Więc pytam się ciebie naprzód, kto jesteś?

Tamten mówi:

— Wołoszyn jestem. Służyłem ongi u dworzanina waszej królewskiej mości tego a tego. Musi tu być mój dawny pan.

— Niemasz go tu, bo się zaciągnął do wojska litewskiego — rzekł król.

Wołoszyn na to:

— Moje w tem nieszczęście! Dałby mi świadectwo, jakom mu wiernie i poczciwie służył lat kilka. I ja tu bardziej dla niego przyjechał, mniemając, że go zastanę, a do Turków się już nie wrócę. Proszę miłosierdzia waszej królewskiej mości, żebym mógł się mieścić w polskiem wojsku.

Król odpowiedział:

— Trzeba, żebyś się wrócił z ralacyą. Dam ci konwój. I nieprzyjacielowi trzeba dotrzymać wiary.

— Jak wola waszej królewskiej mości.

— A jakim cię tu sposobem wyprawiono? Czy na dworze wezyrskim zostajesz, czy też czem innem się bawisz?

— Ja pod chorągwią karałaszów (najmitów) służę. Wyprawiony zaś jestem takim sposobem. Skoro han oznajmił wezyrowi o wojsku waszej królewskiej mości i o osobie twojej, że się pod Tulnem przeprawiasz, nie chciał temu wierzyć wezyr. Posłał po hospodara naszego wołoskiego, nazwiskiem Duka i temu przykazał surowie, aby się starał

o takiego człowieka, który umiałby dobrze po polsku i w Polsce bywał. „Musisz mieć pod ręką takiego człowieka — mówił wezyr — gdyż blizko Polski zostajesz.“ My zaś wszyscy jak niewolnicy jesteśmy u Turków z hospodarem naszym. Więc hospodar, mnie wynalazłszy, zaprowadził do wezyra. Wezyr zapytał mnie przez tłumacza, czy umiem dobrze po polsku? Odpowiedziałem, że umiem, bom służył przez lat kilka u dworzanina królewskiego. Wtedy wezyr: „Takiego mi potrzeba. Byleś mi dobrze usłużył, będziesz miał nagrodę dobrą.“ Zaraz przynosi pod-



Król Sobieski błogosławi relikwią Drzewa Świętego husaryę swoją, walczącą z Turkami.

skarbi wezyrski 50 dukatów, daje mi w ręce i mówi: „Żebyś dotarł do samego Tulna, bo tam wojsko polskie ma się przeprawiać i król z niem. Masz się dowiedzieć, czy to prawda.“ Wezyr znów: „Pytam się ciebie, jeśliś ty jakim sposobem widział króla?“ Odpowiedziałem: „Widziałem nieraz.“ Wezyr znów: „Jakim sposobem być może, żebyś ty, będąc sługą sługi, mógł widzieć kilka razy króla? Długożeś był w Polsce?“ Jam odpowiedział: „Cztery lata.“ Wezyr znów: „Dośćby

na ciebie było, żebyś przez cztery lata raz widział króla.“ Jam rzekł: „Mógłbym go cztery razy widzieć na dzień, gdybym chciał.“ Wtem wezyr z fukiem powstał na mnie, po turecku: „*Hałam swyle diawor*!“ to znaczy: „Łżesz niewierny psie!“, a ja: „Nie łżę, prawdę powiadam. Ciebie, miłościwy panie, pierwszy raz widzę, a króla kiedym chciał, tom widział.“ Tembardziej, z większym ferworem na mnie się porwał z węzgłówka, tak dalece, że rozumiałem, iż mi łeb każe uciąć, o co u nich nie trudno. Upamiętawszy się, mówi do mnie: „Idź, a czyń to, co każę. Będziesz miał nagrodę dobrą, skoro z dobrą wiadomością wrócisz.“

Wysłuchawszy Wołoszyna, król pyta go:

— Tenże to ja król, co w Żółkwi i Jaworowie?

Wołoszyn odpowiedział:

— Ten, wasza królewska mość.

Dopieroż król:

— Idźże z Panem Bogiem, a powiedz wezyrowi, żeś mnie nietylko widział, ale i gadał ze mną. Oznajmij mu tak: „Miłościwy wezyrze, król polski kazał powiedzieć, że ci się w niedzielę stawi na śniadanie.“

Potem król do przedniej straży kazał go zaprowadzić i konwój dać o mil dwie.

O tym Wołoszynie taką wzięto relacyę od pokojowców wezyrskich, że gdy przyjechał do wezyra i powiedział mu, jako wojska polskie są wielkie, jako sam król je prowadzi, jako król polski sam z nim gadał i kazał oznajmić, iż się w niedzielę stawi na śniadanie, — wezyr uznał to za kłamstwo i łeb mu uciąć kazał.

Owóż we środę, porzuciwszy tabory pod Tulnem, król pociągnął z wojskami swemi i cesarskiemi, przez wielkie lasy i góry. W tej drodze otrzymał zapowiedź zwycięstwa, co się stało tym kształtem: Zatrzymały się wojska pomiędzy lasami, na płaszczyźnie, gdzie był pałac murowany, przez Turków spustoszony. W tym pałacu ciury wyszperali piwnicę, z 200 beczkami wina. Zaczęła hołota strasznie pić. Król dowiedziawszy się o tem, posłał do hetmana wielkiego koronnego Jabłonowskiego, aby na to nie pozwolił. Hetman, wódz przezorny, ordynował sto czy też więcej piechoty, żeby hołotę od beczek odpędzili, a beczki porozbijali. Wtem puścił się deszcz spory. Rozbito dla króla namiot bardzo mały i mizerny, który w trokach wożono i zaczęto okopywać około namiotku, żeby woda nie podchodziła. Aż tu wykopują obraz Niepokalanie Poczętej Maryi Panny, arkuszowy, na płótnie malowany, w trąbkę zwinięty (potem go do skarbca w Żołkwi przewieziono). Gdy przyniesiono obraz do króla, król go rozwinął i z wielką weneracyą ucałował. Któryś z obecnych odezwał się:

— Miłościwy królu, są litery jakieś na drugiej stronie.
Król mówi:
— Czytaj.
A tamten przeczytał:
— *Erit victor Ioannes* („Będzie zwycięzcą Jan“).
Król się odzywa:
— Co ty bestyo gadasz?
Czytający odpowiada:

Husarze polscy zdobywają chorągiew Mahometa.

— Czytam, jak napisano.
Król mówi:
— Daj mi go sam.
Czyta znów sam król — to samo. Więc ucałowawszy raz jeszcze obraz, powiada:
— Kto wie, co za Jan będzie zwycięzcą.
W sobotę ruszył się z tego miejsca król z wojskiem i ciągnął ku Wiedniowi. Przez cały tydzień szliśmy nie publiczną drogą, ale manowcami, do marszu niesposobnemi, osobliwie do prowadzenia armat,

które często przez wzgórza musiano przenosić. Tak strawiliśmy cały dzień na tym marszu i dopiero po zachodzie słońca stanęliśmy na nocleg w Dębinie, o wielkie pół mili od Wiednia. Widać stąd było wieże kościoła Ś-go Szczepana, największej świątnicy Wiednia. Chociażeśmy tak blizko byli, jednak Turcy o nas nie wiedzieli. Hasło w naszem wojsku otrąbiono: „W imię Panny Maryi! Panie Boże dopomóż!“ Bo też uroczystość Panny Maryi nazajutrz, w niedzielę, przypadała. Przy haśle wojskowem nakazywano wszelką ostrożność — żeby ogniów nie niecono, tytuniu nie kurzono, a to pod gardłem. Konie w ręku trzymano, którym, jeśli kto miał co w torbie, to dał, a kto nie miał, to garśćmi zbierał liście i konia karmił.

Królowi rozbito namiotek maleńki i materac rzucono. Usiadł król na materacu i mówi do nas dworzanów:

— Nie mam się na kogo spuścić, a bardzo jestem sfatygowany. Trzeba, żebym miał wczas jaki na jutrzejszą pracę. Będzie dzisiaj dawał znaki komendant wiedeński, Sztaremberg, trzeba mi ich przypilnować, a nie mogę.

Na to odzywa się Matczyński, który natenczas był koniuszym koronnym i marszałkiem dworu królewskiego:

— Miłościwy królu, trzeba się choć nieco wywczasować. Już na mnie się wasza królewska mość spuść, ja wszystkiego dopilnuję.

Król rzekł:

— Nie mogę też komu innemu tego powierzyć.

Zaraz też położył się na materacu, a Matczyński usiadł sobie przy drzwiach na taboretku, który woził mastalerz zawsze w trokach, bo po nim król, ile że był otyły, na konia wsiadał. Po godzinie 9 wypada raca z wieży kościoła Ś-go Szczepana. Odzywa się Matczyński do króla:

— Miłościwy panie, jeden znak wyszedł.

Król odparł:

— To już Sztaremberg wie, żem Dunaj przeszedł.

W kilka pacierzy wypada druga raca, a król na to:

— Już wie, żem od taborów ruszył.

Poczekawszy trocha, trzecia raca wypada, król wtedy mówi:

— Niech będzie Bóg pochwalony! Już wie, że się na tem miejscu znajduję.

Ta zaś wiadomość, jak mniemam, stąd musiała być, że sekretna poczta przez rybaków z Wiednia chodziła do Tulna, pod którem się wojska nasze z cesarskiemi złączyły.

Po otrzymaniu znaków, uspokoił się król, nakręcił zegarek na godzinę trzecią po północy i blizko siebie położył, żeby go budzik obudził. Jakoż o trzeciej budzik obudził króla, król zaś zawołał:

— Chłopiec! jest tam który?

Jam się odezwał i drugi, bośmy koło namiotu królewskiego spali. Król mówi do nas:

— Biegajcie do księży kapelanów, obudźcie ich, żeby się do Mszy gotowali, a z bębnów niechaj urządzą ołtarz.

Pobudziliśmy kapelanów, bębnów kilka od piechoty przyniesiono, ustrojono z nich ołtarz pod dębem. Pierwszą Mszę miał Dominikanin-obserwant Skopowski, a drugą Kapucyn, Włoch, Ojciec Marek Aviano, na którego Mszy znów przepowiednię król otrzymał. Albowiem przy dokończeniu Mszy zamiast *Ite Missa est* („Idźcie, Msza skończona“) wymówił: *Vinces Ioannes* („Zwyciężysz Janie“). Podczas Mszy Ojca Aviano, król komunikował się, krzyżem leżał, solenne błogosławieństwo odebrał. Po nabożeństwie, mówią niektórzy panowie do Ojca Aviano:

— Może Pan Bóg da, Ojcze, że przepowiednia twoja się spełni.

A on pyta:

— Jaka przepowiednia?

Więc mówią mu, iż zamiast *Ite Missa est*, rzekł: *Vinces Ioannes.* Wyparł się zakonnik i gniewał, nadmieniając:

— Uroiło się wam coś. Albož ja szalony takie rzeczy mówić? Nie jestem żaden prorok.

Ale słyszało tę przepowiednię wielu godnych ludzi.

O tej Mszy Ojca Aviano inni nieco inaczej opowiadają, a mianowicie: „Była godzina 8 rano. Walka już wrzała. Książę lotaryński pośpieszył do króla, aby odebrać ostatnie rozkazy, następnie obadwaj, po ukończonych obradach, wziąwszy się pod pachy, udali się do starego kościoła Ś-go Leopolda, który z tego wysokiego szczytu panował nad całą okolicą. Tu podążyli, aby razem błagać o błogosławieństwo Tego, którego sprawy bronić przybyli. Z przyźby kościołka oczy ich patrzyły na polskie Karpaty, których wierzchołki zamykały horyzont. Kapucyn przybyły z Rzymu, pobożny, świętobliwy, słynny aż do cudów, umocowany od Inocentego XI udzielać błogosławieństwa jego imieniem obrońcom krzyża, Ojciec Marek Aviano, prawił Mszę Ś-tą. Elektorowie, książęta, cała szlachta, wybór cywilizowanego świata, cisnęli się dla wysłuchania jej. Sobieski służył do Mszy, klęcząc cały czas u stopni ołtarza ze schyloną głową, z rękoma na krzyż złożonemi. Bohater modlił się z wielkim zapałem, przyjął Przenajświętszy Sakrament, a potem podniósł się, żeby syna, królewicza Jakuba, pasować na rycerza. Następnie Ojciec Aviano wstąpił na próg kaplicy z krzyżem w ręku i z tego miejsca błogosławił armię, która wzdłuż górzystych grzbietów w jednej linii się rozciągała, wołając:

— Zwiastuję wam imieniem Ojca Świętego zwycięstwo, jeśli macie prawdziwe zaufanie w Bogu!

Już król był na koniu, zostawił Ojca Aviano, który mu towarzyszyć chciał, modlącego się na szczycie spadzistego pagórka, a sam parł wojsko w przepaści, wąwozy, strome winnice, we wsi zawieszone na wysokości wzgórz, na wspaniały obóz niewiernych, który wydawał się jakby złocisty pas, opasujący stolicę cesarską. Wołał przytem król:

— Następujmy teraz z pewnością, bo Bóg jest z nami!

Wkrótce po Mszach, zjawił się z chorągwią swoją Denhoff, wojewoda pomorski. Kazał król i hetman wojsku na konie wsiadać. Dopiero wówczas dają znać wezyrowi, że wielkie wojska polskie na niego następują. A wezyr dotychczas wierzyć nie chciał, żeby sam król z wojskiem pod Wiedeń ciągnął. Uwierzyć musiał, oczyma własnemi nas zobaczywszy i zawołał z żalem:

— O, królu polski! Jakżeś mógł taką krzywdę wyrządzić panu memu!

A wojsko nasze ustawiało się w szyku bojowym, trzymając miejsce honorowe, to jest prawe skrzydło. Skrzydło lewe tworzyło wojsko cesarskie. Myśmy mieli stanowisko niepoczciwe, bo w podmurowanych winnicach. Szykujemy się tedy, aż tu przyjeżdżają do króla dwaj książęta żądając, żeby rozstrzygnął, który z nich ma pierwszy uderzyć na Turka. Król, nie mogąc inaczej ich sporu załagodzić, poradził, żeby rzucili losy. Więc przyniesiono bęben od piechoty, trzymano go w górze, oni zaś kostki na ten bęben rzucali. Któremu los pomyślny wypadł — nie wiem, bom z dala był od tego miejsca.

Król nasz był tego dnia w czarnym kontuszu grodetorowym, siedział na koniu płowym, którego zwano Pałasz, przepasany był łańcuchem złotym. Rozkazał król, żeby wszyscy żołnierze polscy, do najmizerniejszego ciury, poopasywali się powrozami słomianemi, a to dla odróżnienia naszych od Tatarów Selim Giereja (było tych Tatarów półtora stokroć tysięcy, ale odstąpili Turków, żadnej nie wypuściwszy strzały), którzy takiego stroju, jak my, zażywali.

Kiedy się już wojsko uszykowało, król zawołał:

— A jest tu rezydent od chorągwi królewicza Aleksandra?

Przybiega zaraz do króla tej chorągwi rezydent, król zaś mu rozkazuje:

— Biegaj waszeć do chorągwi swojej, aby tu pan porucznik do mnie z nią przychodził.

Zaraz przyprowadzono chorągiew, porucznik Zwierzchowski, podkomorzy łomżyński, mówi do króla:

— Przyszedłem tu ze znakiem pańskim, czekam dalszego ordynansu waszej królewskiej mości.

Król, wziąwszy perspektywę, rozejrzał się w wojsku tureckiem, poczem mówi:



Wjazd księcia Michała Radziwiłła, posła króla Jana Sobieskiego, do Rzymu, aby złożyć u stóp Ojca Świętego, Inocentego XI, chorągiew Mahometa, oraz inne łupy, zdobyte pod Wiedniem na Turkach.

— Widzisz waszeć tę kupkę, panie poruczniku?

— Widzę, miłościwy panie—odparł Zwierzchowski.

— Otóż tam stoi wezyr. Dopiero sznury rozciągają sejwanowe (sejwan zaś jest to zasłona, której Turcy podczas skwarów używają, a dnia tego upał był okrutny). Żebyś mi waszeć, panie poruczniku, tam kopię skruszył. Rozkazuję!

Odebrawszy ordynans, porucznik ruszył na tę imprezę swoją jedną chorągwią, złożywszy kopię w pół ucha końskiego. Turcy widząc tak małą garść ludzi, bo tylko 200 było pod tą chorągwią, nic ich nie atakowali, ale im jeszcze miejsca ustępowali, mniemając, że na ich stronę się przedają. A tamci, gdy się już podsunęli pod samego wezyra, dopieroż uderzyli kopiami. Turcy, jakby kto w ul pszczół dmuchnął, rzucili się na tę jedną chorągiew to z dzidami, to z szablami, — oni zaś, jak się salwowali, nie mogliśmy rozeznać, z powodu wielkiego tumanu pyłu. Król widząc, że Turcy na naszych wsiedli, dobył krzyża z Drzewa Świętego i karawaki z odpustami wielkiemi, a żegnając naszych, mówił te słowa:

— Boże Abrahamów! Boże Izaaków! Boże Jakubów! Zmiłuj się nad ludem Twoim!

Potem osobliwszą protekcyą Matki Najświętszej, a cudem prawie Bożym, z pośród tak wielkiej tłuszczy wrogów wycofała się chorągiew i wróciła do swoich, straciwszy tylko 19 towarzyszów i 35 prostych husaryi. Otrzepawszy się z kurzu, przyjeżdża porucznik do króla i mówi:

— Podług rozkazu waszej królewskiej mości, sprawiłem się.

Król odpowiada:

— Chwała Bogu, że waści Pan Bóg żywo i zdrowo przyprowadził

Zaraz też król kazał się z Turkiem potykać naprzód Szczęsnemu Potockiemu, wojewodzie sieradzkiemu, z husarską chorągwią swoją, którego rodzony synowiec, Stanisław Potocki, starosta halicki, bez ordynansu hetmańskiego, ze swoją chorągwią pancerną posiłkować porwał się, ale chociaż uczynił ze stryjem swoim znaczną klęskę w Turkach, jednak sam zginął. Turczyn ściął mu głowę w misiurce. Głowa z denkiem odleciała, a czepiec, że dostatni był, został na ramionach. Wtem dają znać królowi, że janczarów przysadziło się do murków winnic tysiąc czyli więcej, i bardzo rażą konie i ludzi. Król posyła z cesarskiego wojska regiment, aby ich stamtąd wyrugować. Wkrótce dają znać, że tego regimentu nie staje. Rozkazuje król drugiemu regimentowi następować, w którym było 1 tysiąc i 200 ludzi pięknych i okrytych. Płaszcze mieli szare, kamizele białe. I tego regimentu nie starczyło. Dopieroż król kazał kirasyerom cesarskim, aby janczarów szpadami wykłuli. Kirasyerzy z janczarami porządek uczynili. Wtedy poczęły się

regimenty nasze z janczarami, jazda nasza z turecką ucierać, a gdy szyki tureckie zaczęły się łamać, król mówi:

— Za Bożą pomocą dziś tę górę opanuję, jutro tamtę, co owo niedaleko, a we wtorek — co komu Bóg przysądził.

Naraz dają znać królowi, że lewe skrzydło już w namiotach tureckich od Dunaju. Zawoła tedy król:

— Biegajcie mi po pana Matczyńskiego, niech tu przychodzi z pułkiem swoim!

W te pędy przybywa Matczyński, a król do niego:

— Zaraz mi waćpan idź z pułkiem i opanuj namioty wezyrskie.

Matczyński pomknął, jak strzała.

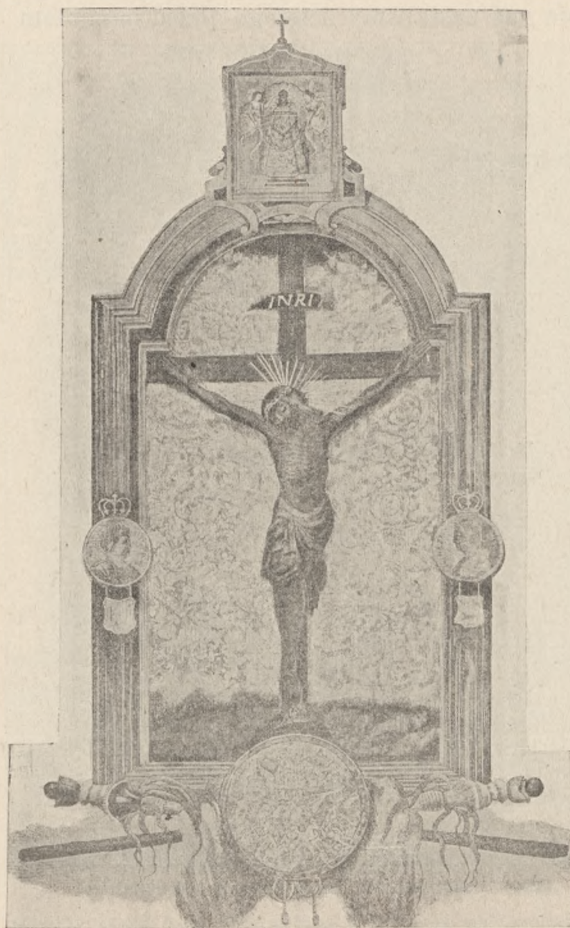
Nasi dzielnie wsiedli na Turków, których cesarscy pędzili od Dunaju tak dobrze, iż każdy uciekać musiał, zostawiając wszystkie łupy w obozie. Gdy obóz opanowaliśmy, zastaliśmy tam potrawy w kotłach, pieczenie na rożnach, ryże w mlekach. Nawet im nie pomogło i to, co już w ostatniem niebezpieczeństwie za największą obronę mają, iż chorągiew Mahometa rozwijają i podnoszą, przy której trup na trupie do ostatniego padać powinien, a tej chorągwi nie odstępować. Jakoż wtenczas, niepraktykowanym tego wieku w ich narodzie sposobem, rozwinioną i podniesioną tę chorągiew, bardzo bogatą, odbiegli, a nasi ją zabrali. Król zaraz posłał tę chorągiew do Rzymu Ojcu Ś-mu, gdzie jest zawieszona w Watykanie.

Jakżeśmy się już rozkwaterowali w obozie tureckim, to ledwieśmy z wojskiem cesarskiem czwartą część zajęli namiotów zostawionych, w którycheśmy nocowali. Król na swoim zwyczajnym taboretku przesiedział całą noc. Dopiero z rana przyszły dwa regimenty cesarskiej piechoty i stanęły dokoła namiotu królewskiego tak gęsto, że ramię z ramieniem stykało się; kogo przy królu zastali, już nazad wynijść nie pozwolili, — a kto do króla wnijść chciał, już go nie dopuścili, oprócz jednego z raportem, który dał znać, że janczarowie jak atakowali Wiedeń, tak jeszcze atakują, nie wiedząc, że wezyr uciekł. Zaraz król posłał część wojska, które wygniotło janczarów. Widząc król turecką przegranę, w głos przy nas wszystkich rzekł:

— Nie będę królem, jeżeli jutro Sztaremberga, komendanta Wiednia, wśród rynku obwiesić nie każę. Widział przecież, że nieprzyjaciel uchodzi i mając w Wiedniu 12 tysięcy wojska, drogi mu nie przeciął!

Mówił tak król, bo nie wiedział, że gdy się insi Turcy z nami bili, janczarowie wciąż Wiedeń atakowali. Miasto było tak zagrożone, że gdyby król nie był pośpieszył z odsieczą, już we wtorek poddałoby się Turkom. Ludzie byli pomordowani i głodem wycieńczeni (doszło do tego, że koty i szczury jedli), przytem Turcy minami zrujnowali mury.

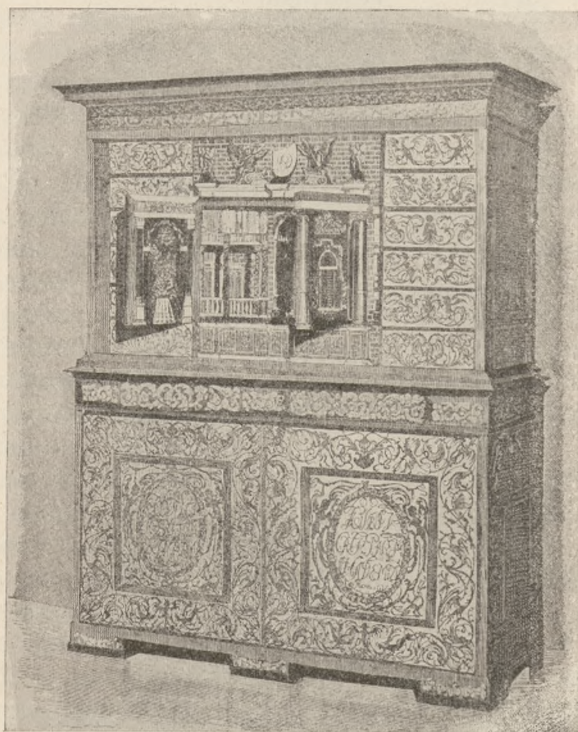
Tejże samej pierwszej nocy, którąśmy nocowali w obozie tureckim, hultaj jakiś z naszego wojska zapalił wszystkie prochy tureckie, na milion przeszło taksowane, z których tak wielki był ogień i strach, żeśmy rozumieli, iż się niebo na ziemię wali. Wojsko wszystko siadło



Wizerunek Chrystusa Pana w katedrze na Wawelu, pod którym zawieszono buńczuki i strzemię wielkiego wezyra Kara Mustafy.

na koń i stało w paradzie póty, póki się nie dowiedziano, że to prochy zapalono. Jak zaś dzień się uczynił, aż się pokazał drugi taki obóz turecki za rzeką (którego z wieczora nie widzieliśmy), dalejże czeladź

hurmem rzuciła się na konie, mniemając, że albo ludzie są w nim jakowe, albo, że owa rzeczka głęboka. Lecz gdy zmiarkowali, że woda na niej mała, ledwie w pół goleni była, pozsiadali z koni i pieszo szli, a przybiegłszy, tak prędko zrabowali ów obóz, że w godzinę ani jeden namiot nie ostał. Był też tam niedaleko pałac murowany, w którym pełno zastali sucharów, kukiełek pieczonych. Był w tym pałacu lew w klatce. Strusia zaś zastaliśmy ściętego przed namiotem wezyrskim.



Biórko, dar papieża Innocentego XI, przysłane królowi Janowi Sobieskiemu po wyprawie wiedeńskiej.

Tegoż poranka król wyprawił w pogoń za wezyrem Matczyńskiego, z pułkiem dwutysiącznym, który tak dojeżdżał Turków, że ludziom ręce ustawały od rąbania. I powrócił ten pułk trzeciego dnia z dobrą zdobyczą.

Potem, o godzinie 9 z rana, przyprowadzono od straży polowej trzech wezyrskich pokojowych, którzy w młodości z Polski zabrani byli. Pierwszy zwał się Pochojski, szlachcic z Wołynia, drugi Skałka, trzeci

Podolski. Wszystka trzech przyjechali porządnie, mając po kilkoro czeladzi z Turków i z Greków. Konie mieli piękne i dobrze juczone, bo u Pochojskiego znajdowało się 45 tysięcy dukatów, u Skałki 42 tysiące, a u Podolskiego 39 tysięcy. Te dukaty takim sposobem dostali. Wezyr widząc przegranę i to, że uchodzić musiał, wpadł do namiotu, a kazawszy pootwierać sepety, krzyknał:



Pomnik króla Jana Sobieskiego w kościele po-Kapucyńskim w Warszawie.

— Bierz, co kto może!

Więc i owi pokojowcy wzięli, co mogli, poczem zmówili się, że jako są chrześcijanie, to powrócą do chrześcijan. Ubrani byli przystojnie, w pancerzach cudnie bogatych, w złoto oprawnych, cyfry po nich szczerozłote, rubinami przedniemi sadzone. Ale niebożęta nie umieli

dostatków zażyć. Król ich odesłał do Krakowa, oni zaś tam wszystko stracili, hulając na zbity łeb, i omal nie o żebranym chlebie poumierali.

Również w poniedziałek, około 9 godziny, ruszył król z hetmanami do Wiednia, na nabożeństwo dziękczynne. Dostał się do miasta nie bramą, bo onej tak prędko odtarasować nie mogli, ale wycieczką bardzo ciemną i to przy pochodniach. W Wiedniu, w kościele Ś-go Szczepana, wysłuchał Mszy Ś-tej i „Ciebie Boga chwalimy“, poczem udał się na obiad do komendanta Sztaremberga. Tam dla króla i hetmanów postawiono stół osobny, a inne dwa stoły dla pułkowników i zacniejszych żołnierzy. Gdy król usiadł z hetmanami do swego stołu, przy którym usługiwał sam komendant, wówczas przedniejsi oficerowie z załogi wiedeńskiej zapraszali do innych stołów naszych wojskowych. Po nieważ pułkownicy byli w skromnych burkach, a panowie towarzysze w pysznych skórach lamparcich, więc tych ostatnich zapraszano do pierwszego stołu mniemając, że to starszyzna. Król i hetmani śmiać się zaczęli, a wtedy Sztaremberg domyślił się, że jego oficerowie ustrzelili bąka. Jakoż wyjaśniono mu niestosowność, on zaś bardzo przepraszał pułkowników i miejsca należne ich godności im wskazał. Po bankiecie, pojechał król do obozu i ruszył zaraz po południu wojsko, które do noclegu uszło milę. Armaty i amunicyę, od Turków pozostałe, Wiedeń zabrał, gdyż nam brać ich niepodobna było.

Wiedeńczycy wdzięczność królowi okazywali. Gdzie się jeno król pokazał, padali na kolana, wołając:

— Witaj zbawco!

Aliści cesarz austryacki zachowywał się dziwnie obojętnie. Spotkał się z nim król nasz w środę, o 2 mile od Wiednia. Wojsko czekało na cesarza w szyku, król wyjechał nieco naprzód z hetmanem wielkim Jabłonowskim, przy wojsku został hetman polny, Mikołaj Sieniawski. Skoro cesarz spostrzegł króla, porwał się do kapelusza, ale jego ministrowie przytrzymali mu rękę, mówiąc:

— Stój, mości cesarzu! Przeciwko twojej powadze kłaniać się pierwszemu.

Dopiero gdy król z cesarzem bliżej się zjechali, jednocześnie skłonili się sobie, jednocześnie zsiedli z koni i zaczęli rozmowę. Pułkownicy też nasi zaczęli się zjeżdżać, a który pokłonił się cesarzowi, to on tylko głową kiwnął, kapelusza nie zdejmując. Z kolei hetman polny Sieniawski idzie powitać cesarza, ale wprzód pyta od cesarza wracających:

— A jak tam cesarz przyjmuje naszych jenerałów i pułkowników?

Odpowiadają mu:

— Wszystkich jednakowo. Głową kiwa, kapelusza nie zdejmując.

Hetman mówi:

— Jadęć tam i ja. Może tak i mnie uczyni, ale ja sobie muszę w tem radzić.

Przyjechawszy, zsiada z konia, idzie prosto do króla, a cesarzowi



Apoteoza Jana Sobieskiego.

(Płaskorzeźba P. Welońskiego na kościele N. M. P. w Krakowie).

samą tylko buławą się skłonił. Gdy zaś kłaniał się królowi, król mu dał znak, aby pierw skłonił się cesarzowi czapką. Na to hetman:

— Wiem, miłościwy królu, że on cesarz cesarstwa, ale wasza królewska mość król i pan mój.

Pogadawszy tedy król z cesarzem trocha, wsiedli obaj na konie, i począł cesarz wojsko, stojące w szyku, objeżdżać. Jako zwyczaj jest, że przed monarchami pułki zniżają chorągwie, więc pułk królewski i hetmana wielkiego również przed cesarzem zniżały chorągwie. Ale pułk hetmana polnego żadnej chorągwi nie zniżył. Zauważył te cesarz i pyta:

— Co za racya, że górniejsze pułki zniżały przede mną chorągwie, a ten nie zniża?

Ktoś mu odpowiedział:

— Ten hetman, co jego pułk, ma urazę do waszej cesarskiej mości, że kiedy waszą cesarską mość witał, wasza cesarska mość nie raczyłeś uchylić kapelusza.

Na to cesarz:

— Czemużeście mnie nie przestrzegli!

Potem, gdy gdzie na którą chorągiew przyjechał, to ledwie nie na chorągiew kapeluszem pchał. Nawet wołoskim i tatarskim chorągwiom ten honor czynił.

Na tem kończymy streszczenie opowieści Dyakowskiego, który długo jeszcze i szeroko się rozpisuje o dalszej wyprawie króla Sobieskiego, po za Wiedeń. Opowieść to, jak czytelnik z przytoczonego streszczenia oceni łatwo, niekunsztowna, ale szczera, za serce prostotą swoją chwytająca. W rocznicę sławnego zwycięstwa posłuży za hołd walecznemu królowi oraz świętobliwemu zakonnikowi, który mu tryumf nad potęgą pogańską przepowiedział.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Złe bowiem tkwi w człowieku, jest istocie jego wrodzone, ogarnia ją całkiem, ogarnia jego władze, zdolności, instynkta. Tkwi ono i w tej materyi, z której jest ulepiony; i w onym głodzie, który mu doskwiera od pierwszego tchnienia życia, a którego tyrańskim wymaganiom ulegają namiętności; tkwi w onej pysze niepożytej, która odsuwa go od Boga, a popycha do próżności, zbytku, do wszystkiego, co jeno może uchlebić jego miłości własnej; tkwi w onej żądzy panowania, gnębienia, utworzenia sobie chociażby maleńkiego królestwa, w któremby on wszystko znaczył i wyłącznie posiadał władzę; tkwi w onem bałwochwalstwie, dążącem do ubóstwienia siebie samego, błędów, namiętności i zdrożności swoich...

W kuszeniu Jezusa poznajemy wszystkie podstępy złego ducha. Te same poduszczenia, które Jezus raczył ponieść, powtarzają się w życiu każdego człowieka. Każdy ma biedzenie z szatanem, który po całym świecie sidła swoje zastawia. A świat ten, to puszcza, to miejsce próby naszej. Szatan tej samej chytrości i przewrotności, którą zwracał ku Jezusowi, używa przeciwko nam. Olśniewa nas, pieści zmysły

nasze, starając się nas w ręce swoje pochwycić. Porywa się nawet na tych, którzy z ufnością synowską polegają na Opatrzności Ojca Niebieskiego; aby ich obłąkać, przywłaszcza sobie słowa Boże, paczy, fałszuje, wykrzywia ich prawdę; usiłuje uśpić ich czujność; wmawia w nich, że Bóg Sam wszystko uczyni, że przeto mogą śmiało narażać się na wszelkie niebezpieczeństwa; łudzi ich widziadłami wielkości i sławy; wynosi ich, obiecuje im chwałę, sławę i moc, zawsze jednak pod warunkiem, że będą mu posłuszni, że mu się pokłonią.

Owa pokusa trojaka obejmuje w zupełności wszystkie warunki i stosunki życia ludzkiego: stosunek do Boga, stosunek do ludzi, stosunek do zmysłów i namiętności. Dlatego Jezus chciał tych pokus doznać na Sobie, każdej po kolei, i zwyciężyć je. Tym sposobem stał się nam podobnym, w całej zupełności ujawnił na Sobie prawdziwą naturę ludzką, a zatem na wieki pozostaje wzorem człowieka, narażonego na pokuszenia. Słusznie tedy mówi o Nim Apostoł, który najlepiej wniknął w Boskie Jego dzieło:

„Nie znamy Najwyższego Kapłana, któryby się nie mógł ulitować nad krewkościami naszemi: lecz kuszonego we wszystkiem, na podobieństwo, oprócz grzechu."

Do duszy Jezusa szatan nie dotarł, więc opuścił Go na zawsze. Jezus już nigdy nie będzie staczał z nim walki. Szatan będzie drżał przed Nim, a poczuwszy obecność Jego w pobliżu, wołać będzie:

— Jezusie! Synu Boży! czemu przyszedłeś tu przed czasem męczyć nas, wydzierając z mocy naszej ludzi, których ciało i duszę posiadamy?

Po onem kuszeniu, które było próbą bolesną, Jezus hojnie kosztował rozkoszy Bożych, albowiem Aniołowie przystąpili do Niego i służyli Mu. Duchy Niebieskie były zawsze na usługi Jego. W czasie pokusy, z woli Bożej, ukryli obecność swoją, ale gdy szatan zwyciężony ustąpił, znów się ukazują. Heroldowie ci Niebiescy, pośrednicząc między Bogiem a człowiekiem, przynoszą ludziom siłę i radość od Boga.

Hufce Aniołów zawsze otaczały niewidomie tu na ziemi Jezusa. Widział ich, jako z wysokości nieba czuwają nad dziatkami i maluczkimi; oglądał ich dokoła Siebie, zawsze gotowych do służenia Mu; przez nich wypełniał dzieła łaski Swojej: uzdrawiał chorych, wypędzał czartów, nawracał grzeszników, karmił rzesze głodne. A przecież, chociaż mógł, nie prosił Ojca, aby Mu przysłał do pomocy ich zastępy. Dla Siebie nic nie żądał, nigdy nie ulżył Sobie brzemienia tej natury ludzkiej, której wszystkie nędze przyjął dobrowolnie. Jak dla nas, tak i dla Niego, życie składa się ze smutków i pociech, prób gnębiących i tryumfów. Radość jednak trwa krótko, niby chwilowe zawieszenie broni, wśród wojen wciąż się ponawiających, ale wystarcza jej dla umocnienia woli. Z utrapienia się rodzi i z niem wzrasta. Jest niejako balsa-

mem i oliwą ku zagojeniu ran, jakie dusza w walce odnosi; jest namaszczeniem zapaśnika, wzmożeniem jego członków do walk więcej jeszcze zawziętych. Kto choć w cząstce drobnej uczuł kiedykolwiek w sobie tę pociechę, pogodę, wesele święte, jakie Bóg wlewa do dusz sług Swoich, dla Niego cierpiących, ten zrozumie głębokie znaczenie, ukrywające się w tryumfalnem zakończeniu walki Jezusa z szatanem.

Chrzest i kuszenie szatańskie następują w życiu Jezusa po sobie. Dwa te zdarzenia, nierozłącznie i przeciwieństwem swojem wzajemnie się dopełniające, stanowią w istocie swojej wstęp do życia Jego. W pierwszem widzimy objawienie Ducha Bożego — w drugiem objawienie ducha złego. Pierwsze ukazuje nam Boskie Synostwo Jezusa — drugie ludzką Jego naturę, poddaną walkom i próbom. Pierwsze wskazuje nam siłę nieskończoną, z jaką Jezus działać będzie — drugie przeszkodę, którą zniweczy i usunie. Pierwsze objaśnia nam życie Jezusa wewnętrzne — drugie objaśnia nam prawo, jakiem Jezus rządzi się w Swem działaniu.

Bo Duch Boży nieustannie działa zarówno w pojedyńczym człowieku, jak i w całej ludzkości; ale duch zły nie spoczywa — sprzeciwia się dziełu Bożemu z zawziętością nieprzejednaną, niezłomną. I trwa ta walka złego z Bogiem od początku wieków, wywołuje na ziemi zamęt, który się w dziejach świata odbija. Jezus Ducha Bożego posiada w całej pełni, szatan tedy jest Jego stanowczym wrogiem. Wszystkie usiłowania, wszystkie myśli i wolę Swoją Jezus zwraca do tego, aby w człowieku zwyciężył Duch Boży, aby człowiek pokonał w sobie szatana. Ducha Bożego człowiek może otrzymać tylko przez Chrystusa, jak również przez Chrystusa otrzymuje siłę do zwycięskiej walki ze złem.

Tak się przedstawia wspaniała postać Jezusa według świadectwa tych, którzy na Jego życie patrzyli. Nie ma On równego Sobie pomiędzy synami ziemi, bo żaden z nich, jak On, nie jest Synem Bożym; żaden z nich bez Niego nie zdoła się od złego uchronić. On jest siłą, On jest zwycięstwem. Przeto na samym wstępie działalności publicznej już jaśnieją: Boskie Synostwo Jezusa i najwyższa Jego świętość, blaskami swemi oświetlając sprawę Jego, głęboką jak myśli i wyroki Boże, rozległą jak cała ludzkość, święcie surową i bohaterską, jak ofiara, której ta sprawa od niego wymaga.

Ksiądz Compans do tych uwag dodaje:

Jezus, którego celem było ogłosić w Judei naukę Bożą, pełną tajemnic, przeciwną zasadom tego świata, to jest — zaprowadzić najszczytniejszą moralność obyczajów, przeciwną samolubstwu i skłonnościom skażonej natury ludzkiej: musiał walczyć na każdym kroku z przeszkodami. Ów grunt, na którym miał zasiewać Boskie ziarna nauki

Swojej, był skalisty, cierniem i ostem zarosły, niezmiernie trudny do uprawy. A jednak to Go nie zraża. Zajęty chwałą Boga Ojca Swego Przedwiecznego, rozmiłowany w niewdzięcznych mozołach, ochotnie je przedsiębierze i trwa w nich do końca życia Swego. Nic Go od nich nie wstrzymuje, nic nie zniechęca. Chociaż nie widzi plonów ze Swoich poświęceń, niezłomnie dąży do celu wiedząc, że przyszłość wynagrodzi Mu pot krwawy, łzy rzewne, poniewierkę i męczeństwo. Tu się stwierdzają słowa Mędrca Pańskiego: „Dosięga od końca do końca mocnie i rozrządza wszystko wdzięcznie."

Jakaż była wówczas postać Jezusa zewnętrzna? Zarówno z przyczyny powagi Swojej i głębokiej pokory, jak też z powodu życia pracowitego i umartwionego, bo takie prowadził bez przerwy od młodości, zdawał się starszym niż był w rzeczy samej. Liczono, że miał lat około pięćdziesięciu, a istotnie liczył dopiero trzydzieści. Według podań najdawniejszych a wiarogodnych, powierzchowność Jezusa nie zdradzała wcale Jego Bóstwa, niczem się nie różnił od innych ludzi. Niczem nie ozdabiał osoby Swojej, bo każdy mędrzec pogardza marną ozdobą; nic w Nim nie można było dostrzedz, coby osobliwą uwagę zwracało. Lecz nie podlegał żadnej ułomności, żadnemu kalectwu. Wzrost miał średni, postawę kształtną, budowę ciała silną, rysy oblicza regularne. Było to oblicze poważne, pogodne i miłe. Malowały się na niem — świętość, dobroć, łagodność i mądrość. Te szczytne przymioty umysłu i serca towarzyszą Jezusowi w życiu nierozłącznie. Każdy Jego ruch, dźwięk głosu, spojrzenie, miały w sobie największą powagę i umiarkowanie.

W odzieży Jezusa widniała skromność i prostota. Nie dopatrzyłeś w niej żadnego wymuskania, żadnej przesady. Nosi, jak wszyscy Izraelici średniego stanu, szaty niekosztowne lecz chędogie, więc — suknię długą do kostek, robioną na drutach (była ona dziełem Maryi); z wierzchu pewien rodzaj peleryny, czyli płaszcza długiego i szerokiego. Chodził z głową odkrytą, bo Izraelici nie znali czapek i głowy od upału lub deszczu osłaniali płaszczem. Obuwiem Jego były sandały z drzewa lub skóry.

Tak tedy Zbawiciel, prawdziwy Bóg-Człowiek, przez Swoją powierzchowność chciał się stać do nas podobnym, aby nas nauczyć, że nigdy nie powinniśmy się wynosić nad innych, ani starać się podobać światu; że owszem powinniśmy mało cenić wszelką okazałość zewnętrzną, gdyż jest dla duszy szkodliwa, podnieca pychę. Chciał nas nauczyć, że powinniśmy we wszystkiem mieć na celu Boga, Jemu się podobać, nie zwracając uwagi na sądy świata; przez cnotę i dobre uczynki przyozdabiać duszę swoją.

Opowiedzieliśmy tu i wyjaśniliśmy niejako wstęp do Ewangielii, niezrównany w pokorze i we wspaniałości. Bóg nie mógł mniej udzielić człowiekowi, ani oddać więcej Bogu — powiada Veuillot. — Według uwagi jednego z Ojców Kościoła, człowiek popełniłby zbrodnię, przypisując sobie sprawy Boże. Bóg dokonywa rzeczy małych bez poniżenia Swojej natury. Jeżeli król występuje jako żołnierz dla ocalenia wszystkich, to spełnia czyn królewski. Małe rzeczy, zbawiające świat, są dziełem Boga.

Wówczas był jeden bóg świata, w duchu świata rozumiany, mieszkał w Rzymie, nazywał się cesarzem, miał swoje świątynie i swoich kapłanów. Pozwalał panować Herodowi, którego znał dobrze. Wkrótce dzieje miały się zapełnić straszliwemi imionami. Messaliny, Herodyady, Druzylle, Agrypiny, Poppee otaczają tych bogów ziemi, ministrami ich są Narcyzy i Sejany.

Dwór Boga, który się stał człowiekiem, składa się z osób całkiem innych. Niektóre z nich, jak Zacharyasz i Elżbieta, Symeon i Anna, zdawały się być zachowane od zepsucia powszechnego, aby mogły ogłaszać Jego zstąpienie do życia ziemskiego. Przychodzi On pomnożyć ich liczbę, a raczej stworzyć na nowo wyczerpany ich rodzaj. Przed ukazaniem się Swojem, będąc jeszcze ukrytym w łonie Maryi, uświęca Jana w wnętrznościach matki. Witają Go słowa nieśmiertelne, wzniosłe, rozmowy pomiędzy Świętymi Starego i Nowego Prawa, którzy są też Jego Świętymi; witają Go proroctwa, zapowiadające Jego Królestwo i dopełniające proroctwa czasów przeszłych. Zawiązuje się na nowo węzeł miłości pomiędzy niebem a ziemią, Betlehem otwiera bramę nieba, pieśni niebieskie zwiastują przebaczenie, cud idzie za cudem. Wszystko jest zmartwychwstaniem i miłosierdziem, wszystkie figury stają się rzeczywistością, a wszystkie te rzeczywistości nieśmiertelne są wyobrażeniem odradzającej się ludzkości, są pochodniami, przyświecającemi w pochodzie jej ku Królestwu Bożemu.

Idąc śladem Ojców Kościoła, czytajmy Ewangelię inaczej niż ci, co badają onę, jak Żydzi badali niegdyś Jana Chrzciciela, a badać będą Jezusa jedynie dlatego, żeby mieć pozór do skazania Go na śmierć. Jezus, którego zabili, nie umarł, a Ewangelia, ktorej bluźnią, zabije ich. Lecz gdy własną ich winą dokonywa się nad nimi to dziwo, że znajdują śmierć w źródle życia, — my bierzmy to, co nam jest ofiarowane: *czerpmy życie*!

IV.

Początkowy okres działalności publicznej Jezusa obejmuje 14 lub 15 miesięcy, a trwa od chwili wyjścia Jego z puszczy, na krótko przed Paschą roku 28, aż do uwięzienia Jana Chrzciciela, około święta Purym r. 29. Trzej pierwsi Ewangeliści biorą to ostatnie zdarzenie, kończące posłanictwo Jana, za punkt wyjścia do swojej opowieści o apostolstwie Jezusa. Początkowy okres tego apostolstwa pomijają zupełnem milczeniem, chociaż samo ich opowiadanie domyślać się onego każe. Nicbyśmy też o tym okresie nie wiedzieli, gdyby nie czwarty Ewangelista, który trzech swoich poprzedników uzupełnia, opowiada kilka szczegółów, dających o tych kilku pierwszych miesiącach pojęcie.

Jan Ewangelista tedy jasno zaznacza różne podróże Jezusa, wymienia dokładnie dni i godziny, obszernie powtarza rozmowy poufne, snać jemu samemu tylko powierzone, skoro je sam tylko opisał. Każdy wyraz jego relacyi jest świadectwem niezbitem prawdy, dusza Jezusa tchnie w jego duszy. Nie jego to słyszymy, bo on sam siebie wszędzie usuwa, ale słyszymy Mistrza.

Jan Chrzciciel swoją siłą i surowością przypomina wiatr wielki i mocny, który w widzeniu Eliasza na Horebie poprzedził przyjście Jehowy, wywracając góry i krusząc skały. Jezus—to szmer lekki, łagodny, cichy, to tchnienie Samego Boga. Jego pierwsze ukazanie się okolone jest spokojem, pogodą, skromnością. Z wyjątkiem jednego tylko zdarzenia, nie widzimy w Jego czynach surowości i porywczości.

Z puszczy, odbywszy post i zwyciężywszy kuszenie, wraca samotny nad Jordan, w okolice Beth-Abary, gdzie Jan, od chwili chrztu Jego, wciąż dawał o Nim świadectwo. Spotkanie się z Jezusem, widok nieba otwartego, głos Ojca i ukazanie się Ducha, który widomie zstąpił na Mesyasza — wszystko to otoczyło Chrzciciela większą nierównie powagą. Obecnie jest nietylko surowym głosicielem pokuty, groźnym posłem sprawiedliwości Bożej, gorliwym rozdawcą chrztu, — ale nadto jest pierwszym nowych czasów Ewangelistą. Co dawni Prorocy upatrywali z daleka, to on widzi wyraźnie, dotyka ręką, usty swemi ogłasza. Tajemnicę oną Światłość Boża mu objawiła, — on też ją rzeszom oznajmia niezmordowanie! Słowem Chrzciciel spotężniał pod wpływem Jezusa. Na sam widok Zbawiciela, okrzyk wyrywa się z głębi jego duszy, okrzyk podobny do jęku stęsknionej oblubienicy.

Tedy dnia pewnego, Jezus, wracając z puszczy, zbliżał się do Jana. Spostrzegł Go zaraz Chrzciciel, a może wtedy na obliczu Zbawi-

ciela malowało się jakieś bolesne uczucie smutku i ciężkości bohaterskiego zadania, bo Jan zawołał ze wzruszeniem:

— Oto Baranek Boży! Oto, który gładzi grzechy świata!

Pierwsza to nazwa dana Jezusowi na wstępie Jego życia publicznego, a trzeba przyznać, że żadna inna nie zdołałaby tak doskonale określić zewnętrznej postaci i wewnętrznego charakteru Tego, który wyrokiem Bożym przeznaczony na ofiarę męczeńską, mówił do Jana:

— Godzi się nam wypełnić wszelką sprawiedliwość.

Duszę człowieka urabia jego powołanie. Odbija się ono w rysach i w postawie jego, wyraża się głęboko w całej jego istności. Bolesne, najświętsze powołanie Jezusa otacza Go pokorą i łagodnością, czyni Go najsłodszym z pomiędzy synów ziemi, prawdziwym Barankiem Bożym.

Jan, nazywając Jezusa tem mianem, wysoko się podnosi nad poziom myśli i pojęcia czasu swego. Ten drugi Izajasz mówi tak samo, jak mówił pierwszy — Prorok pokuty przypomina tamtego, który sześćset lat przedtem był już Ewangelistą Mesyasza cierpiącego, gdy głosił:

„Widzimy Go, a nie było nacz spojrzeć. Jakoby zasłoniona twarz Jego. Prawdziwie choroby nasze On nosił, a boleści nasze On odnosił. Pan włożył na Niego nieprawości wszystkich nas. Ofiarowan jest, iż Sam chciał, a nie otworzył ust Swoich. Jako owca na zabicie wiedzion będzie, a jako baranek przed strzygącym go zamilknie."

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Marya na Kalwaryi.

Zaledwie się narodził Zbawiciel, a już uchodzić musi przed czyhającymi na Jego życie; — później ileż zasadzek, ile oszczerstw, ile napaści wycierpieć był obowiązany! Przepowiednia Symeona głównie jednak odnosiła się do męki Pańskiej, jak to objaśniają słowa Apostoła do Żydów. Upomniawszy wiernych, aby patrzyli na Jezusa przodka i kończyciela wiary — dodaje: *uważajcie tego, który takowe przeciwieństwo podejmował przeciw sobie* — ze strony złośników [1]), co znaczy, iż wskutek przeciwieństwa czyli grzechów cierpiał mękę Pan Jezus i z tejże przyczyny miecz boleści przeniknął serce Maryi.

Stała pod krzyżem nietylko dla złożenia ofiary i okazania swego posłuszeństwa razem z nowym Adamem, ale także, aby z Nim razem znosić cały ciężar męki. Wspólne było przestępstwo pierwszych ludzi, zostaje okupione wspólnem cierpieniem Jezusa i Jego Matki.

Tak, zaiste — Marya podziela wszystką karę, która ma naprawić i wszystko odnowić. Cierpi, choć jej nikt nie zadaje ran na ciele. Nie znajdujemy w Ewangelii żadnej wzmianki, żeby ktoś znęcał się nad osobą Matki Jezusa; jeżeli cierpiała, to dlatego, że Pana Jezusa Syna swego miłowała i świadomą była, z czyjego powodu mękę ponosi. Czy Marya tylko stała pod krzyżem — pyta ś-ty Bonawentura. — Była i na krzyżu — Pan Jezus w całej osobie, Marya serca boleścią. Tam jej

---

[1]) Heb. 12, 2, 3.

serce miecz przeniknął — tam odczuwała szyderstwa i naigrawania — tam piła żółć i ocet, doświadczając całej goryczy z powodu strasznej tej kaźni.

Dlaczegóż, o, Pani nasza, tyle brałaś na siebie katuszy — czyż męka Jezusa nie starczyła, aby sprawiedliwości zadość się stało? [1])

Marya, mówi ś-ty Wawrzyniec Justynian—w sercu swojem zachowywała wszystkie zniewagi, wszystkie rany Syna swego — jest Ona dla nas prawdziwą Matką Bolesną [2]).

Ale potrzeba bliżej rozpatrzeć tę jedność uczuć—tę wspólność męki Matki i Syna. Męka i cierpienia Najświętszej Maryi Panny pochodziły z dwojakiego źródła i z podwójnego punktu rozważać je wypada. Marya doskonale wiedziała, jaką mękę Pan Jezus ponosi, — a nam wiedzieć należy, iż nieskończoną miłością dla Zbawiciela naszego przejętą była.

Odejmijmy Jej ową świadomość, a wnet cierpieć przestanie;—wiedząc co Syn cierpi, — jeżeliby mniej miłowała, co najwięcej czułaby litość; przecież trudnoby pojąć, ażeby ktoś przejmował się do głębi serca położeniem obojętnej dla siebie osoby.

Wiara nas uczy, że szczęśliwości wybranych nikt opisać nie potrafi — a jednak nie jest ona równą dla wszystkich. Cóż jest źródłem ich wspólnej szczęśliwości? Widzenie Boga i miłość dla Boga, — a co czyni, że nie każdy jednaką otrzymuje szczęśliwości miarę? — Zależnem to jest od większej lub mniejszej doskonałości — wedle każdego świadomości i miłości.

Im większą była w Maryi świadomość, im wyższe pojęcie o godności Pana Jezusa, — im większą ku Niemu miłością pałała, tem też żywiej odczuwała Jego cierpienia.

W książkach opisujących mękę Pańską znajdujemy bardzo wiele szczegółów o udręczeniach zewnętrznych,—słyszymy o katuszach wymyślonych dla ciała Chrystusa Pana. Daleką jest od nas myśl mniejszego oceniania zadawanych mąk Chrystusowi Panu, owszem nikt ich dostatecznie określić nie zdoła—ale niepodobna ich stawiać na równi z cierpieniami moralnemi, z udręczeniem ducha.

I tu już możemy się powołać na słowa samego Zbawiciela. Znane są krótkie, ale wymowne wyrazy — odgłosy wewnętrznego Jego bólu. — „Smętna jest dusza moja aż do śmierci” [3])¹— mówi Pan Jezus do ucz-

---

[1]) Stimuli Amoris P. 1 c. 3.

[2]) S. Laur. Iustin. L. de Triumphali Christi ag.

[3]) Mor. 14, 34.

niów w Gethsemani. Idzie, jako cichy baranek i zachowuje milczenie— jednak z krzyża woła: „Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił!" [1])

Rozumiemy to dobrze, że przykrości i przyjemności duchowe daleko więcej znaczą, niż wszelkie udręczenia i rozkosze ciała. Dlatego też największą karą dla potępieńców jest wyrok odrzucenia i przekleństwo Boskie. Z żywotów świętych wiemy, iż wielu z nich, nawet podczas ziemskiego życia cierpienia ciała lekce sobie ważyli, a wewnętrznych ucisków znieść nie mogli i Bożej pomocy wzywali.

Cóż, pytamy, najwięcej bolało Pana Jezusa? Ś-ty Tomasz, d-r anielski, wskazuje, iż Pan Jezus najbardziej bolał nad grzesznikami — znał wielkość winy a równie wielką miłością przejęty, postanowił takową okupić [2]) — cierpiał za wszystkie grzechy i za wszystkich grzeszników— tak, iż się spełniła zapowiedź Izajasza proroka:—„prawdziwie choroby nasze nosił, a boleści nasze on odnosił" [3]). Dodajmy do tego niewdzięczność ludzi prześladujących Pana Jezusa z wielką zaciętością, niewdzięczność mnóstwa innych przez całe setki lat depczących jego krew najświętszą — odstępstwa wyraźne i liczne, prześladowania nieustanne — zażartą walkę, jaką ludzie pomiędzy sobą wiodą, — oto co więcej niż biczowanie lub do krzyża przybijanie napełniało boleścią serce Zbawiciela.

Krzyż jestto księga, której jedni nie pojmują, inni powierzchownie traktują. Księgę tę, z której dusze oświecone wśród ciemności otaczających niejako zdala biorą wszelką mądrość, Marya miała przed oczyma swemi, rozumiejąc każde jej słowo i zachowując w sercu.

Nie tyle roztkliwiała się nad męczarniami ciała, ile patrzyła w serce Jezusa i mierzyła bezdnię Jego boleści.

Dar wiary i płonąca z niej świadomość rzeczy Boskich sprawiała, iż należycie pojmowała powody i cele męki Syna — widziała, iż żadnej nie miał pomocy i pociechy ani z nieba, ani z ziemi, — że nawet Jej obecność nie przynosiła Mu ulgi, owszem była ową kroplą dopełniającą męczeństwa czarę. [4])

Jeżeli taka była świadomość Maryi, taka miłość Bogarodzicy, Kościół słusznie do Niej odnosi te słowa Jeremiasza proroka: „*Komu Cię*

---

[1]) Ibid. 16.

[2]) S. Thom. 1—2 qu 31.

[3]) Isai 53, 4.

[4]) Quinquagena III theoriarum in vitam et pass. Christi — 12 op. t. II p. 250.

przyrównam? abo komu Cię przypodobam, córko Jerozolimska? wielkie jest jako morze skruszenie twoje. [1])

A Marya, czyż nie ma prawa wołać do nas: *O, wy wszyscy, którzy idziecie przez drogę, obaczcie a przypatrzcie się, jeśli jest boleść, jako boleść moja."* [2])

Cóż musiał przenieść na sobie Abraham, kiedy na rozkaz Boży szedł ofiarować syna — jedynego — dźwigającego brzemię drewek, mających służyć do całopalenia. Przypomnijmy sobie ową nieszczęśliwą Resphę — jedną z żon Saula — czuwającą nad trupami synów, nielitościwie umęczonych przez Gabonitów, z jaką wytrwałością odpędzała ptastwo, żeby nie szarpało ciała ich. [3]) Albo, jeżeli kto woli, niech wspomni sobie na boleści matki Machabeuszów, która patrzeć musiała na śmierć siedmiu męczonych synów. [4]) Wszystko to nie da się porównać z męczeństwem Najświętszej Maryi na Kalwaryi. A dlaczego? Ponieważ cierpienia onych ofiar nie mogą stać obok ofiary Pana Jezusa, ponieważ miłość owego ojca i wspomnianych matek nie może się równać miłości, jaką Matka Boża otaczała Syna swojego.

Męka Boga-Człowieka—to dzieło wyjątkowe. Ukrzyżowanie Pana Jezusa było takiem cierpieniem, jakiego nikt nie doświadczał i nigdy nie będzie znosił, ale też i żadna boleść nie dorówna boleściom Maryi, gdyż ona jedna wybrana na matkę Odkupiciela.

Pod krzyżem byli z Matką Jezusową: Jan, Marya Magdalena i Marya Kleofasowa; wszyscy Chrystusowi Panu oddani i męką Jego żywo przejęci — współczucie ich nie może nazwać się współcierpieniem. Współczucie onych świadków męki Pana Jezusa było chwilowe. Najświętsza Panna, już godząc się na poczęcie wcielonego Słowa, wiedziała, co ją czeka, — a każda godzina przybliżała termin ofiary.

Żadna z tych osób oddanych Jezusowi nie mogła czuć tego, czego doznawała Marya, jako matka, jako dziewica matka — patrząca na Syna z łotry porównanego i od wszystkich opuszczonego.

Z tej przyczyny Kościół, wspominając boleści Maryi, mówi, iż współcierpiała — współbolała — czego o żadnej innej osobie powiedzieć nie można.

Możnaby sobie teraz zadać pytanie, czy te cierpienia, jakie Marya Panna w zjednoczeniu z Panem Jezusem znosiła, wystarczają, aby Jej

---

[1]) Ierem. Lam. 2, 13.

[2]) Ibid. 1, 12.

[3]) II Reg. 21, 10.

[4]) II Mach. 7.

przyznawać miano męczenniczki. Wielu, głoszących chwałę Maryi, przyznaje Jej ten tytuł, poomiędzy innymi Ś-ty Bernard, który głosi, że jest więcej niż męczennicą. [1])

Wilhelm (Petit) objaśniając „Pieśń nad pieśniami", mówi: męczennicy umierali za Chrystusa — Marya znosiła męczeństwo, umierając z Chrystusem. [2])

I zaprawdę Jezus Chrystus w całem znaczeniu był męczennikiem, królem męczenników, umierał, dając świadectwo prawdzie. Błogosławiona Marya podzielała mękę Syna dla tejże przyczyny — dając świadectwo swej wierze i miłości dla Jezusa.

I nic to nie znaczy, że wtedy nie umarła, gdyż łaska Boża była z nią i podtrzymywała ją przeciwko śmierci. Cierpienia czysto duchowej natury — same przez się nie są w mocy przeciąć związku łączącego duszę z ciałem — ale któż może wiedzieć, jak dalece obezwładnia, a nawet śmierć przyśpiesza boleść, jeżeli z nieczystego płynie źródła? Nigdyby czływiek ciężkich nie wytrzymał wstrząśnień i doświadczeń, gdyby ich nie miarkowała ręka Boża.

Cokolwiekby się dało powiedzieć w tej materyi, — musimy być pewni, iż nie bez ważnych powodów Kościół mianuje Maryę Królową męczenników. Najpierw trzeba wiedzieć, co rozumiemy przez wyraz męczeństwo. [3]) Jeżeli w pewnych razach nie możemy użyć wyrazu compassio — współmęczeństwo — to bierzemy pojęcie w stopniu wyższym, dominującym.

Wzywając Maryę, jako Królowę Apostołów nietylko oznaczając, iż ona wyższą jest od każdego Apostoła — ale iż jej przywilej sięga dalej niż samo apostolstwo. A cóż jest najwznioślejszego i podziwienia godnego w męczeństwie, jeżeli nie owa nieugięta moc ducha, owa miłość prawdy, która godzi się na śmierć dla Chrystusa.

Owa moc ducha i zupełne poświęcenie siebie dla Boga jaśnieje w Maryi — byłaby oddała pod krzyżem ducha — gdyby Bóg nie był Jej zachował na obronę rodzącego się Kościoła.

Każdy z wiernych zna ów hymn Stabat Mater, gdzie wołamy: Święta Matko, uproś dla mię, niech ran Syna twego znamię, noszę w sercu mem wyryte. Słowa te znajdujemy u Ś-go Bonawentury tak rozwinięte:

---

[1]) S. Bern. Serm. de 12 praerog. — n. 14.

[2]) Muzzarelli — Skarby ukryte w sercu Maryi.

[3]) Określenie męczeństwa nie jednakowo się układa. Krzyżowiec poległy na polu walki w obronie grobu Chystusa syn Kościoła poświęcający życie w jego obronie — czy są męczennikami? Nie są, mówią jedni — są, twierdzą drudzy u Ś-go Bernarda i Ś-go Tomasza

„O, Pani nasza! okrutnie zraniona, niech serca nasze odczują mękę twoją i mękę Syna Twego. Złącz serca nasze z twojem sercem, abyśmy boleść twoją czuć mogli. Czemużbym nie miał pamiętać i rozważać, jakoś cierpiała razem z Synem Swoim. Jeżeliś tak pogrążona w boleści twojej, iż nie chcesz ich oddzielić od serca swego — dozwól mi przyłączyć się i do tych ran i do tych zniewag — żebyś tyle choć pociechy miała, iż są tacy, którzy z tobą boleść dzielić pragną. [1])

Obyśmy mogli wniknąć w cudowną potęgę miłości — powtarzalibyśmy z jednym sławnym i bogobojnym mężem: Dusza moja widziała Matkę Bożą — Maryę, płaczącą u stóp krzyża — chciałbym bezustanku tak płakać. [2])

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



[1]) Stimulus Amoris P. 1 c. 3 S. Bonav.

[2]) Palladius – Append. Apophteymata Pat. de Abbate Poemene n. 144 P. G.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Pan Piotr Czarniecki jeden dzień wielkim armatom próżnować pozwolił, natomiast dnia następnego korcić go ta ich bezczynność zaczęła. Udał się do przeora.

— Ojcze mój — rzekł — albo zwiąż mnie, albo pozwól pluć z harmat. Jakże? Szwedy, niby muchy na miód, pakują nam się pod nos, cierpliwości przeto nie staje. Gotówem ich kropić bez pozwolenia, bo w człowieku krew nie woda, ale nieposłuszeństwo czasu wojny to grzech wielki, zatem już lepiej pozwól...

— Chyba w ostateczności, mój panie Piotrze, zawdy z waści gorączka — odparł przeor. — Pamiętajmy, że tylko bronimy się, żeśmy z musu jeno żołnierze. Śmierci niczyjej nie pragniem, byleby spokój nam dali.

— Otóż to: spokój! W tem sęk. A właśnie, żeby nam dali pokój, tłuc ich trzeba i to gracko.

— Bić, byle się opędzić, ale na życie nastawać nie powinniśmy. Nie zapominajcie, że gdy kusze lat temu trzysta okazały się zbyt śmiertelnem narzędziem, to sobor Lateraneński użycia ich zakazał; dopiero w następnych wojnach, gdy z niewiernymi do czynienia przyszło...

— Ojcze wielebny, tu całkiem inna sprawa! Zresztą i my do czynienia mamy z niewiernymi, a nawet gorzej, bo z odstępcami. Pozwólcież huknąć...

— Na Bóg miły, panie Piotrze, bez zawziętości, bez gorączki. Jam wódz i ojciec wasz — proszę! Każde biedne ludzkie życie w tem oblężeniu moje sumienie obarcza.

Czarniecki mruknął:

— Trudno. Jednak nieuchronnie strzelać nam... Szwedzi nas opasują, gruchoczą mury, a my stać i patrzeć mamy?

— No, to już strzelajcie, ale więcej dla strachu. Drażnić i tak rozjątrzonego nieprzyjaciela rzecz niepolityczna i szkodliwa.

Czarniecki odzyskał humor, pobiegł do puszkarzy, rychle też działa klasztorne szwedzkim odpowiadać zaczęły.

Jasnogórscy bronili się z najlepszą fantazyą, lecz i dla nich ten dzień bez ofiar nie był. Co dziwniejsza, jakby wszystko miało być cudownem w tem oblężeniu, nawet kule, rażące ludzi w twierdzy, zdawały się być ręką niewidzialną kierowane ku jakimś niepojętym celom. Wprzód jeszcze czterech Janów (w tej liczbie Janasz Węgrzyn) padło od kul szwedzkich; dnia tego trzech znów Janów działa nieprzyjacielskie położyły trupem. Zauważono to, więc wszyscy Janowie z murów zbiegać poczęli, a że imię to u nas dość pospolite, przeto wylęknionych znalazło się dosyć. Zawiadomiony o tem Kordecki niezwłocznie złemu zaradził, przemawiając do spłoszonych:

— Wiem, że bojaźń was ogarnęła, lecz rozważcież zali słuszna. Zamiast zazdrościć korony Janom męczenników, wy unikacie śmierci, przenosicie życie mizerne, nad życie w szczęśliwości rajskiej i w pamięci ludzkiej. Dziwny, zaiste, obłęd! Czy nie jest najwyższem szczęściem poledz w obronie kraju i wiary?

Słowa te umocniły wylękłych; wrócili na stanowiska i mężnie na nich dotrwali.

Innych strat dnia tego nie było. Kule szwedzkie, czy to, że się Szwedzi przejęli mniemanemi czarami zakonników i źle je kierowali, czy też cudem łaski Bożej — bądź co bądź jednak przenosiły twierdzę, lub padały na dziedzińce nieszkodliwie, gdy tymczasem strzały jasnogórskich dziwnie były celne.

Szwedzi, wciąż myślą o czarach, coraz niechętniej i pod przymusem tylko działali. I do zastanowienia im się nie wiodło. Tak naprzykład, na bateryi północno-wschodniej, z pośpiechu czy z nieopatrzności, proch rozsypany pięciu puszkarzom oczy wysmalił, a jednego puszkarza pocisk z tejże bateryi rozszarpał. Ten wypadek Szwedów przygnębił do tego stopnia, że mimo zachęcań samego Millera, mimo dostarczonej obficie gorzałki, poprostu ręce opuszczali. Nawet oficerowie uni-

kali zbliżania się do murów warowni, wypychając naprzód żołnierza, który szedł opieszale, natomiast raźnie odstępował. Oczywista, że przy takiej sprawności i ochocie wyłomu nie zrobiono.

Pod wieczór, czaty, rozsypane w okolicy, ujęły i przywiodły do obozu wracającego z Prus pana Piotra Śladkowskiego, podkomorzego rawskiego. Jechał sobie pan podkomorzy najspokojniej w świecie, bez wojowniczych zamiarów, a sądził, że jako stronnik szwedzki, będzie miał wszędzie bezpieczeństwo; tymczasem rajtary, którzy radzi byli się obłowić, myśląc, że to jaki poseł lub szpieg, zatrzymali go i przed Millera stawili.

Podkomorzy z wierzchu tylko Szweda stronę trzymał, w rzeczy samej dobrym był Polakiem. Znalazłszy się przed Millerem i pasport szwedzki okazawszy, nuż się skarżyć:

— Panie jenerale, co to znaczy? Czy bezpieczeństwa w kraju niema dla nas, poddanych króla jegomości Karola Gustawa? Jakiem prawem śmieli mnie zatrzymywać pańscy żołnierze?

— Co waszmość chcesz? Wojenny czas!

— Ale ja człowiek spokojny!

— Kto tam wiedział, coś waść za jeden...

— Pasport pokazywałem...

— Ba! a oni czytać nie umieją. Niewieleś na tem ucierpiał, żeś do mnie zboczył, a jam temu rad.

— Uniżenie dziękuję — mruknął Śladkowski.

— Powtarzam: dobrze się stało — ciągnął Miller. — Waszmość zrobisz mi grzeczność i pójdziesz jutro na Jasną-Górę, do tych upartych mnichów. Głowę z nimi tracę, a nie chcę ich szkody. Dawno mógłbym ich zniszczyć z kretesem, a żal mi. Powiesz im waszmość, żeby się upamiętali, że cała Polska już nasza, że się poddać się muszą.

— Ale mości dobrodzieju — rzekł przeciągle Śladkowski — z jakiej racyi mam posłować?

— Z takiej racyi, że jako Polak i katolik, dobrze klasztorowi życzysz.

Podkomorzy dziwnie brwiami ruszywszy, wąsa podkręcił.

— Prawdę powiedziawszy — bąknął — jestem nawet dawno znajomy księdzu Kordeckiemu.

— Doskonale się składa! Przeor dawnemu znajomemu snadniej zaufa, nie wymawiaj się tedy waszmość od przysługi, wszak stronnikiem naszym jesteś.

Zgodził się pan Śladkowski — Miller kwaterę mu na noc wyrychtował w Częstochowie, u tamtejszego mieszczanina, Jacka Brzuchańskiego, a nazajutrz miał go z trębaczem na Jasną-Górę wyprawić.

Dnia następnego przypadała wigilia do Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi. Ksiądz Kordecki od rana, w nowym habicie, zbliżeniem święta rozjaśniony, wciąż umacniał załogę, nadmieniając:

— Panienka Najświętsza nam dzień swój da na otuchę i radość, ale wszyscy dziś pośćmy po staremu, jak pościli nasi ojcowie: suchotami dzień cały do wieczora. Wieczorem grzanką chleba i trochą piwa posilemy się, tak będziemy oczekiwali uroczystości.

Jakoż wszyscy suszyć postanowili, że nawet po kuchniach ognia nie rozpalano. Szwed rano nie ochoczo brał się do dział, w klasztorze sposobiono się do obrony, gdy trębacz dał znać o pośle. Był to pan podkomorzy Śladkowski. Miller na drogę nauczył go, jak i co ma mówić, a podkomorzy solennie przyrzekł, iż wszelkiemi siłami będzie się starał przeora do poddania warowni nakłonić.

Ksiądz Kordecki, spojrzawszy na posła, ździwił się. Spytał:

— A waszmość co tu porabiasz? Czy także ze Szwedami?

— Ano... z musu jestem ich stronnikiem — odparł Śladkowski. — Imaginujcie sobie, wczorajszego dnia jechałem spokojniuteńko z Prus do Żoław, gdzie do panów Weslów miałem interes, aż tu rajtary szwedzkie ułapili mnie jadącego drogą i dostawili jak włóczęgę jakiego do obozu...

— Otóż to przyjaciele ze Szwedów! — rzekł Kordecki.

— Kwitowałbym najchętniej z przyjaźni, ale cóż robić? Tedy, skoro mnie do obozu dostawili, Miller nuż skłaniać, żebym się tu do was udał (niby to lepszy od innych świeży człowiek...) i do poddania namawiał. Mam dowodzić... ale zapewne argumenta znacie?

— Doskonale! Ze sto razy nam już je powtarzano, kochany podkomorzy, a nie macie zapewne nic nowego i lepszego.

Śladkowski rozejrzał się — obok przeora stało kilku zakonników i szlachty. Więc ustami pocmokał, wahał się.

— Jesteście wśród ludzi pewnych, którym zaufać można — zauważył Kordecki. — Macie co nowego?

— Hm... cośby się znalazło — rzekł z uśmiechem Śladkowski.

— Mówcie śmiało, a naprzód siadajcie. My dziś ze szczerym postem, boć to wigilia do święta Matki Boskiej, osobliwszej naszej Obronicielki i Orędowniczki, ale dla waszmości znajdzie się coś do przekąszenia...

Obruszył się podkomorzy:

— Na miły Bóg! nie róbcie mnie heretykiem... Cóż to ja, nie chwalca i wyznawca Najświętszej Panienki? Więc i ja, również jak wy, z suchotami dzisiaj.

Uśmiechnął się przeor i westchnął:

— Gdyby tak wszyscy, wszędzie szli razem, zgodną myślą...

— Oj, to prawda! — podchwycił Śladkowski. — Ale cóż robić z naturą, która nas do niezgody pcha? Pokaranie Boże i tyle!

— Wszelako powiadaj waszmość, mój podkomorzy, jeśli co masz.

Na krześle się poprawiwszy Śladkowski, rozejrzał znów, i głosu przyciszywszy, prawił:

— Ano... węzłowato powiem — godzina szczęśliwości szwedzkiej minęła, wszystko przeciwko nim się teraz zwraca. Dziś właśnie zawiązuje się konfederacya, celem starcia ich z oblicza Rzeczypospolitej. W drodze spotkałem siła szlachty od Krakowa, od Małopolski... Wszyscy jednako śpiewają — Szwedom powija się noga.

Szmer radosny rozległ się pomiędzy słuchaczami, przeor zawołał:

— Toż Bogu i Matce Jego Najświętszej dzięki! Ale praw dalej, mój podkomorzy...

— Owo tedy słychać, iż nasi za panem prawowitym się stęsknili i pragną do niego wrócić. Szwed, któren im złote góry obiecywał, nietylko nic nie daje, ale do ostatniej skóry się dobiera. Pieniędzy heretyk nie ma. Zająwszy Kraków, zmienił front, już nie dysymuluje, zrzucił runo baranie i okazuje się czem jest: publicznej ani prywatnej własności nie oszczędza. Wszędy grabieże, ucisk, niewola... Najeżdżają włości szlacheckie, łupią klasztory, kościoły, zabijają, gwałtują... Patrząc na to, kwarciani także wąsami ruszają, bo przecież i oni, to szlachta sprawiedliwa... Nawet już Szweda tłuc zaczęli i cale gracko im się udaje...

— Łaska Boża, jeśli to prawda! — zauważył pan Zamoyski.

— Ręczam, że fałszów z rękawa nie wytrząsam, szczerą prawdę mówię. W wielkim znalazłem się wczora kłopocie, kiedy mnie Miller o nowiny zagadnął, bo przed nim nie chciałem się z tem wygadać; przeto zbywałem tem i owem, kręciłem; ale przed wami nic nie taję. Trzymaliście się dotąd, trzymajcie i dłużej, a Szwed z pewnością odstąpi, bo go rychle w grzbiet połaskoczą.

— A cóż o królu jegomości słychać?

— Jeszcze siedzi na Śląsku, ale miarkują, że jeno patrzeć, jak się ukaże. Przecież widząc, że się umysły odwróciły ku słuszności, pójdzie z nami, a wtedy, kupa się zebrawszy, utniemy Szwedowi...

— Utniemy! Jak dwa a dwa cztery utniemy! — wykrzyknął pan Czarniecki.—No, i przy nas ostanie chwała, żeśmy tu, na Jasnej-Górze, pierwsi uwierzyli w siebie. To jest, po prawdzie mówiący — chwała ostanie przy księdzu przeorze dobrodzieju...

Przeor rękoma zamachał.

— A dajcież mi spokój! Ja żadnej chwały nie chcę, prócz sławy sługi Bożego. Nie przeszkadzajmy oto podkomorzemu. Słuchając go, aż serce rośnie.

— Cóż wam jeszcze rzec? Chyba, że Wittemberg trzymał w Krakowie deputatów od wojska i z niczem ich odprawił. Domagali się żołdu, a dowiedziawszy, że ich pieniędzmi ze sreber kościelnych kontentować miano, obruszyli się i sami nawet precz poszli. W czas się opatrzyli, że takich pieniędzy brać się katolikowi nie godzi. Zresztą doszedł ich niezmierny skwierk ubogich zakonników, księży, mniszek, którym zakrystye do cna poobierano. Tak, tak! owa pierwsza skromność szwedzka całkiem się odmieniła. Rabują i gwałtują jawnie, bez ceremonij!

— Można się było tego spodziewać — rzekł Kordecki.

— A już co z kmieci, to bez miłosierdzia ciągną! — opowiadał Śladkowski. — I wiecie kto im w tem pomaga? Kupczykowie krakowscy i Żydowinowie, po niemiecku przebrani. Wittemberg, zamiast ich karać, jeszcze ich do tych zbójeckich usług pobudza.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1719. Ignacy Zawisza, starosta miński, rotmistrz kawaleryi w wojsku cesarskiem, wracając z wojny tureckiej do domu, umyślnie na Jasną-Górę wyboczył, aby podziękować Najświętszej Pannie za trojaką obronę osoby swojej i innego kawalera, heretyka, podczas tej wojny Naprzód w bitwie pod Białogrodem otrzymał postrzał z janczarki w bok a mniemał, że śmiertelny, bo zaraz słabieć i z konia spadać zaczął. Westchnął wtedy do Bogarodzicy i naraz oprzytomniał. Rozpatrzywszy ciało pod zbroją, przekonał się, iż żadnego szwanku nie poniósł. Kula dostała się pod zbroję przez zapinki, lecz zatrzymała się na obrazku blaszanym Panienki Częstochowskiej. W tejże potrzebie konia pod nim postrzelono. Śpieszonego byłby tłum wojenny w zamknięcie bitwy stratował niechybnie. Lecz starosta polecił się Maryi, w tym momencie innego konia mu dano i tak ocalał. W tejże potrzebie, już po złamaniu i spędzeniu z pola Turczyna, dał do potrzymania ów wizerunek Panienki na blasze jednemu z towarzyszów swoich. Ten, heretykiem będąc, urągać wizerunkowi począł i wydrwiwać starostę, że zabobonem się obciąża. Jeszcze bluźnił, a tu koń go poniósł i tak szalał, że jeźdźcowi śmierć groziła. Dopieroż pożałował bluźnierstwa, wezwał Panienkę na ratunek i ślub uczynił, iż się na wiarę katolicką nawróci, jeśli śmierci ujdzie. Uspokoił się rumak, a ów kawaler ślubu dotrzymał.

Tegoż r. 1719, Franciszek Biernacki, skarbnik kaliski, zeznał do ksiąg klasztornych, iż w potrzebie ze Szwedami pod Koniecpolem, wizerunek Bogarodzicy na blasze, który na piersiach pod pancerzem nosił,

czterokrotnie go ocalił. Więc raz kula z muszkietu na wylot go przestrzeliła i zatrzymała się pod nim, nie narażając ciała. Raz drugi — kula po rękawie i ręku się stoczyła, tylko pręgi zostawując po sobie. Raz trzeci — kula rozdarła tylko suknię na biodrze. Raz czwarty — kula w grzbiet konia trafiwszy, tylko grzywę mu nieco opaliła.

R. 1720. Marcin Korślak z Wiśniczy, spławiając pod szyprem Jakubem Palikowskim Wisłą zboże do Gdańska, wpadł do wody ze statku. Stało się to pod Kazimierzem. Żaden z towarzyszów nie odważył się go ratować. Miał szyper Palikowski w budzie swojej wizerunek Panienki Częstochowskiej, więc go wyniósł i żegnając nim tonącego, modlił się do Pani Anielskiej o ratunek. Tonącego nurty zaraz na powierzchnię rzeki wyrzuciły, stanął na wodzie, jakoby na lądzie twardym i przez pół godziny, wciąż stał, dopóki czółno z ratunkiem nie nadpłynęło. Oprzytomniawszy z doznanej trwogi i zapytywany, jakim sposobem mógł tak długo stać na wodzie, Korślak odpowiadał:

— Dwaj starcy wydźwignęli mnie za ramiona z toni, trzymali i utrzymali.

R. 1722. Kazimierz Butkiewicz, trębacz nadworny Ludwiki Czapskiej, kasztelanowej elbląskiej, zeznał pod przysięgą do akt klasztornych, że jadąc konno przed karetą pani swojej, tak nieszczęśliwie z konia spadł, iż przytomność stracił. Daremnie go ratowano, leżał martwy. Pani kasztelanowa, matrona pobożna, zdjęła z piersi obrazik Panienki Częstochowskiej i położywszy go na znaku życia nie dającym Butkiewiczu, błagała Pani Anielskiej o ocalenie go od śmierci. Niebawem Butkiewicz rozwarł oczy, westchnął, do siebie przyszedł. Zaniesiono go do chaty kmiecej, tam przez noc wypoczął, a nazajutrz wsiadł zupełnie zdrów na konia.

Tegoż roku, żołnierz poważny, Wojciech Zambrzycki, zeznał pod przysięgą do akt klasztornych, iż był świadkiem, jak pewien niepohamowany choleryk, nazwiskiem Markowski, strzelał do siebie samego z pistoletu, lecz kula od wiszącego na jego piersiach wizerunku Bogarodzicy Częstochowskiej odskoczyła. Markowski uznał swoją bezbożność i ze skruchą za nią żałował.

Tegoż roku, królewicz Konstanty, syn króla Jana Sobieskiego, przysłał na Jasną-Górę dworzanina swego, pana Moglewskiego, aby w jego imieniu zeznał, iż (królewicz) został z paraliżu śmiertelnego łaską Pani Anielskiej uratowany. Gdy królewicz, paraliżem dotknięty, leżał bez życia, koniuszy Osiewski do ust mu wizerunek Maryi przyłożył. Ocknął się królewicz z śmiertelnych zapasów, trzykrotnie Pozdrowienie Anielskie odmówił i oto do zdrowia przyszedł.

R. 1726. Pani Krystyna Ubiszowska, cześnikowa kijowska, zeznała, iż dwukrotnie z choroby śmiertelnej za orędownictwem Panienki Częstochowskiej uratowana została.

R. 1728. Pani Anna Męcińska, małżonka burgrabiego krakowskiego, udawiwszy się ością rybią, już oddychać przestała. Gdy wszelkie sposoby lekarskie nie mogły jej do przytomności przywrócić, wlano w usta już zasiniałe nieco wina, którem wpród obmyto wizerunek Maryi, dotykany o cudowny obraz jasnogórski. Ość niezwłocznie z gardła ustąpiła, a pani burgrabina ocalała.

R. 1736. Niejaki Korwin, pułkownik chorągwi Prebendowskiego, wojewody malborskiego, został w niewolę wzięty, walcząc na kresach. Półtora roku przebył w onej niewoli, a znikąd nie spodziewał się pomocy. Zrozpaczony błagał o ratunek Panienkę Częstochowską. Nazajutrz, po poleceniu się Jej opiece, wolność odzyskał.

R. 1742 zawiadomiła Ojców Paulinów jasnogórskich księżna Lubomirska, wojewodzina czernichowska, z domu kasztelanka Mniszkowa, iż odstąpioną będąc w chorobie przez lekarzy, gdy się opiece Pani Anielskiej poleciła i wizerunek Jej do piersi przygarnęła, z niemocy zdrową wstała.

R. 1743. Pani Marcyanna Michalska, szlachcianka z sieradzkiego, pokąsana okrutnie przez psa wściekłego, daremnie u cyrulików pomocy szukała. Nie mogli zatamować krwi, z 40 ran płynącej, ani boleści uśmierzyć. W tem stanie opłakanym się znajdując, westchnęła pokąsana do Najświętszej Panienki, a wizerunek jej wziąwszy, o oryginał cudowny na Jasnej-Górze dotykany, do ran krwawiących go przykładała. Natychmiast krew płynąć przestała, bole się uśmierzyły.

W rozdziale pierwszym części trzeciej swej księgi, ksiądz Nieszporkowicz opowiada zdarzenia:

R. 1698. Helena Kubicka, córka zacnej pary szlacheckiej, Wojciecha i Konstancyi małżonków Kubickich, w Gajsku, w lochu piwnicznym dworu tamtejszego, została przywalona ziemią, bowiem strop lochu runął. Rzucono się ratować — ale trudny był ratunek, bo ziemi na biedaczkę zwaliło się wysoko na cztery łokcie. Dopiero po usunięciu 20 fur tej ziemi, odgrzebano panienkę, lecz zczerniałą, uduszoną. Zrozpaczona matka błagała o łaskę Panią Anielską, modlitwę zaś jej wysłuchała Bogarodzica niezwłocznie — córka wróciła do życia, a niebawem zupełne odzyskała zdrowie.

R. 1702. Na Jasnej-Górze są dwie studnie, w skale wykute, głębokie na 30 sążni, których wodą orzeźwiają się pątnicy. Zdarzyło się, iż pątniczka jedna, sięgając powodę, nadto się przechyliła i wpadła do studni, w samo wiadro, żelazem okute, już na dnie będące. Mniemano, że ją wyciągną bez życia, z połamanemi kośćmi, lecz ku ogólnemu zdu-

mieniu wydobyto ją bez żadnego szwanku, gdyż miała na tyle przytomności, aby opiece Panienki się polecić.

W rozdziale drugim części trzeciej znachodzimy zdarzenia:

R. 1768. Jędrzej Działyński, chorąży pomorski, uganiając się za niedźwiedziem, spadł z konia tak nieszczęśliwie, że życia mu nie wróżono. Rodzice ofiarowali go na Jasną-Górę, a ich pobożność łaskę Najświętszej Panny dla syna zjednała, iż ozdrowiał niezwłocznie.

R. 1705. Józef Markiewicz, żołnierz z załogi jasnogórskiej, odbywając wartę nocną, wypadł za mur do fosy, z muszkietem w ręku. Muszkiet potrzaskał się na drobne części, a Markiewiczowi nic się nie stało, bo Najświętszą Panienkę na ratunek wezwał.

R. 1713. Również na Jasnej-Górze, puszkarz, Sebastyan Jordanowicz, z baszty wysokiej upadł do fosy. Wszyscy myśleli, iż ciało zmiażdżyło się w tak gwałtownym i z takiej wysokości upadku. Aliści znaleziono go o krzak zaczepionego, bez szwanku. Bogarodzica salwowała swego służkę.

R. 1719. Sapieżyna, wojewodzina, trocka, zeznała do akt klasztornych: ,,Często doznawałam osobliwych łask i pociech od Najświętszej Panny i teraz, w drodze na Jasną-Górę, nowej doznałam. Bowiem pokojowe pacholę, w oknie karety stojąc, wypadło z impetem na drogę, gdy pojazd w szybkim pędzie się znajdował. Szczęściem służebna zawołała:

— Najświętsza Panno Częstochowska, ratuj!

Wezwanie nie pozostało bez skutku — pacholę podniosło się bez szwanku, a oprzytomniawszy, rzekło:

— Zdało mi się, jakoby mnie kto na ręce chwycił, tak lekko upadłem.“

Tegoż roku, w aktach klasztornych zapisano zeznanie następujące: „Ja, ksiądz Konstanty Pawłowski, zakonu Ś-go Pawła pierwszego pustelnika, zeznawam, iż będąc jeszcze świeckim, przy dworze J. W. Kazimierza Sapiehy, wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego litewskiego, w zawody z towarzystwem biegając na koniu, we wszystkim impecie spadłem i rękę lewą złamałem, na którą cały rok chorując, a polepszenia zdrowia ani nadziei nie mając, skorom się udał do jedynej Lekarki, Najświętszej Panny Częstochowskiej, obiecując oddać za wotum nietylko srebrną rękę, ale też samego siebie na zakonną służbę Panu Bogu i Najwiętszej Pannie, wkrótce do zdrowia przyszedłem i obietnicę wykonałem.“

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

V.

Kinga, inaczej Kunegundą zwana, małżonka Bolesława Wstydliwego.

I tem właśnie stali się Tatarzy najstraszniejszymi dla uprzedzonego o swej wszechstronnej wyższości chrześcijaństwa, na którem Wschód za swoje kilkakrotne klęski krwawo teraz miał się zemścić. Han wielki pisał wówczas do Papieża:

„Wy, mieszkańcy Zachodu, chrześcijanie, mniemacie, jakobyście byli sami na świecie i gardzicie resztą narodów. Jednak skądże to wiecie, komu Bóg Swojej łaski poszczególnie udzielić raczył? My także Boga chwalimy i właśnie ramieniem Jego zburzym świat cały, od Wschodu do Zachodu. Albowiem powiedziano jest, iżby na niebie był jeden tylko Bóg, a na ziemi tylko jeden han.“

Takie hasło wiodło Tatarów nad brzegi Wisły. Głównym przecież celem ich teraźniejszej wyprawy były Węgry. Jako kraj niezwykle bogaty; jako siedlisko narodu, który sam pod te czasy, przez umyślnie wyprawione na Wschód poselstwa, szukał swojej pierwotnej ojczyzny w Azyi, w bezpośredniem pobliżu krain mongolskich; jako świeży wreszcie przytułek Kumanów, niedawnych nad morzem Czarnem sąsiadów Tatarów, a teraz, po wojennem przez nich rozbiciu, bawiących od kil-

kunastu miesięcy w przyjaznej gościnie nad Dunajem, w ziemi pochodzenia azyatyckiego Madziarów, to jest Węgrów: słynęło Królestwo Węgierskie ku Wschodowi w dalekiej, aż do uszu hanów wielkich dochodzącej, powieści.

Po wzięciu bogatego Kijowa, nie pociągał Tatarów żaden z krajów Zachodu tak ponętną sławą, jak Węgry. Ku niemu więc w ostatecznym dążąc kierunku, wyprawiali przodem poselstwo do króla Beli z rozkazem, aby, jeżeli pragnie zachować życie i państwo, czołem uderzył przed wielkim hanem. Bela odmówił, a to przyśpieszyło pochód Tatarów.

Właściwy im tryb wojowania skierował ich drogę na Polskę. Trudność znalezienia w lesistych i nieuprawnych onego czasu ziemiach dostatecznej dla ogromnego wojska żywności, choćby łupieżą branej, a także zamiar uniknięcia wielkich, morderczych bitew, na które Tatarzy niechętnie się narażali — nakazywały całemu ogromowi armii mongolskiej, w każdym pochodzie ku pewnemu, głównemu miejscu zebrania, dążyć tam kilkoma wielkiemi szlakami. Następnie każdy z głównych oddziałów rozlewał się w kilka pomniejszych strug, mających podobnież pewien pobliższy cel zejścia się razem, do którego, po spustoszeniu całej po za sobą ziemi przybywszy, posuwały się wszystkie znowuż różnostronnemi prądami naprzód, ku głównej mecie wyprawy. W ten sposób cały kraj najechany bywał okryty jedną, wielką siecią łupieży. Obrońcy kraju, nie wiedząc której stronie pierwej nieść pomoc, tracili wszelką nadzieję powstrzymania zalewu, a jeśli, jak często nawet zdarzało się, któremuś z pomniejszych zagonów tatarskich padła klęska dotkliwa, nie wywierało to żadnego wpływu na los całej wyprawa. W taki też sposób dążyli Tatarzy przez Polskę ku Węgrom.

Naczelnym wodzem, czyli „królem królów i najwyższym panem“ całej potęgi był wnuk przesławnych Dżengishanów — Batu-Han, pierwszy po wielkim hanie władca zachodniej czyli kapczackiej części całego mocarstwa mongolskiego. Pod nim dowodzili pojedynczemi oddziałami naczelnicy pomniejsi, czyli „króle“, jak Orda, inaczej zwany Urdiuj, rodzony brat Batu-Hana; Peta, inaczej zwany Bajdar; Kadan albo Kajdan; Mengu i Kiujuk; wreszcie dwaj inni jeszcze „króle“. Wszyscy oni byli wnukami Dżengishana. Oprócz tego kierowali osobnemi oddziałami dawni, sławą okryci wojownicy, zwani po tatarsku *behadirami* (skąd powstał nasz wyraz: „bohater“) jak: Subutaj — behadir, pogromca Chin i pierwszy zdobywca Kapczaku; Burundaj-behadir, Bredjoj-behadir, Haider-behadir i inni.

Ogół zastępów mongolskich liczył przeszło 600 tysięcy ludu zbrojnego. Samych siekierników, poprzedzających zwykle główną armię, a przeznaczonych do rozrąbywania stawianych pochodowi przeszkód

i zasiek granicznych, liczono 40 tysięcy. Niezliczona mnogość koni, bo tych Tatarzy zawsze po kilka do przesiadywania się prowadzili, wielbłądów z machinami wojennemi i namiotami, wozów z przyborem obozowym, towarzyszyła wyprawie. „Od rżenia rumaków, ryku wielbłądów, skrzypu teleg tatarskich, nie można było dosłyszeć słowa ludzkiego", pisze jeden z kronikarzy ówczesnych. A w dalszym pochodzie ogrom ten wzrastał, gdyż pierwszym obowiązkiem każdego podbitego, albo dobrowolnie poddającego się Tatarom ludu, powiatu, nawet miasta, było przyłączenie się do ich pochodu, służenie mu za straż przednią, za przewodników, co pewnym udziałem w łupieży wynagradzali, a co pociągało ludy niektóre.

Tym jedynie sposobem zdołali Mongołowie zgromadzić tak olbrzymią siłę zbrojną u granic Polski i Węgier. Przy wyjściu bowiem ze swego kraju, mając pod swemi znakami samych tylko Tatarów, liczyli wszystkiego sto kilkadziesiąt tysięcy wojska. Reszta składała się z przymusowych zaciągów cudzoziemskich, więc z Kumanów, Bulgarów, Rusi, pędzonych w każdej potyczce na pierwsze strzały, gdy Tatarzy rodowici stanowili ostatni, troskliwie oszczędzający się zastęp. Tym, sztuką zwiększonym, ogromem umyślił Batu-Han ze wszystkich stron zalać Węgry.

Stosownie do tego, została rozdzielona cała armia mongolska na trzy główne szlaki, czyli oddziały. Pierwszy z nich dążył do Węgier od wschodu, od strony śiedmiogrodzkiej, dwiema różnemi bramami, wiodącemi do Siedmiogrodu od Bukowiny i Multan. Drugi miał wtargnąć z północy, od strony Małopolski, głównie przez góry ziemi krakowskiej. Trzeci wreszcie oddział, nadzwyczajnie szerokiem oskrzydlając Węgry półkolem, zmierzał ku nim przez Wielkopolskę i Śląsk, od zachodu, ze strony morawskiej. Rozplanowanie wyprawy uczynione było z taką rozwagą, że będąc w ziemi halickiej, w pobliżu najdogodniejszego szlaku przez Karpaty do Węgier, odstąpili Tatarzy od niego umyślnie o kilka dni drogi ku północy i zachodowi, aby przez ocalenie przyległych temu szlakowi okolic od spustoszenia, zachować sobie ludny, bogaty w żywność i paszę gościniec, do przyszłego powrotu z ziemi węgierskiej. Tym sposobem zapobiegli Tatarzy jednocześnie wczesnemu ostrzeżeniu Węgrów o swojem najściu z północy i od zachodu, a mając głównie ziemię węgierską na oku, rozciągnęli jeszcze sieć łupieży na zamożne miasta i krainy sąsiednie, mianowicie na Sandomierz, Kraków i Wrocław. Więc ku Małopolsce, ku sandomierskiej siedzibie Bolesława Wstydliwego i Ś-ej Kingi, zwróciło się przedewszystkiem czoło armii mongolskiej, pod wodzą samego Batu-Hana.

Polska była drugim krajem chrześcijańskim, a pierwszym katolickim, który padł ofiarą Tatarów. Nie doświadczyli się oni jeszcze w zapasach z chrześcijaństwem. W tych zapasach gotował się dla nich

wcale inny odpór, niż w walce z pogaństwem azyatyckiem. Tu tryumfująca ich pycha spotkała się z natchnieniem religijnem, które z taką pogardą patrzyło na ich barbarzyństwo, z jaką oni spoglądali na mieszkańców Europy, oświeconych wiarą chrześcijańską. Tu wszelkie zalety wyższości, jakiemi Tatarzy górowali nąd resztą ludów azyatyckich, okazały się niedostatecznemi. Napróżno przeciwko niezgodzie i swarliwości państw chrześcijańskich stawiali Tatarzy karność swojego olbrzymiego, dobrze urządzonego państwa. Każdy z narodów europejskich, wzdrygając się na samą myśl hołdowania zwycięzcy pogańskiemu, zbroił się z osobna do niezbyt rozważnie obliczonej lecz zuchwale śmiałej walki za wiarę i za siebie. Napróżno przeciwko nieznajomości sztuki wojennej ludów zachodnich, które przestawały na rycerskich zapasach każdego pojedynczego osobnika ze swoim przeciwnikiem, zmieniały zwykle obowiązek wodza naczelnego na rolę szeregowego zapamiętalca, rzucającego się po rycersku w największe tłumy, otóż—napróżno przeciwko temu rozwijali doświadczeni wodzowie tatarscy wielką swoją umiejętność kierowania z dala od zgiełku bitwy uczonemi ruchami ogromnych mas. Każdy z owych chrześcijańskich śmiałków naczelnych płonął chęcią rycerskiej, męczeńskiej śmierci, a gotowość każdego do tak niebezpiecznej walki, narażając nieprzyjaciela na małe wprawdzie, lecz częste straty i ciosy, sprowadzała w końcu klęskę. Napróżno prowadzili Tatarzy niesłychanej dotąd wielkości armię na podbicie Zachodu. Już uparty, zacięty opór pierwszych krain chrześcijańskich, Polski i Węgier, zniechęcił Tatarów na zawsze do wypraw po za Wisłę i Dunaj, do krain chrześcijańskich potężniejszych. Więc nie małoduszny popłoch, jak niektórzy utrzymują, sądząc z podania o ucieczce Bolesława Wstydliwego, powitał pierwszych Tatarów nad Wisłą, lecz rycerska ochota do śmiertelnej walki z pogaństwem. Środków zaś do tej walki dostarczył głównie posag młodziutkiej księżnej Kingi.

Za pieniądze węgierskie ściągnięto naprzód do Sandomierza roty żołnierstwa najemnego. Z niemi, czy też ze szlachtą krajową, wyruszył naprzód Bolesław, pełen otuchy pobożnej, przeciwko wrogom nieznanym. Nie myśląc wcale o ucieczce, wróżył sobie młody książę, że z łatwością wstrzyma zalew pogaństwa. Towarzyszył mu inny z książąt polskich, pono stryjeczny Bolesław syn Konrada, młody dziedzic Mazowsza, wiedziony również rycerskiem pragnieniem zasłonięcia przed poganami swoich nadwiślańskich ziem ojczystych. Postanowiono bronić Tatarom przejścia przez Wisłę i posunięto się z hufcami wzdłuż jej brzegów, ku północy od Sandomierza, w stronę Lublina. Tam już właśnie Tatarzy pierwszą wściekłość na mieszkańcach miasta i wsi okolicznych wywierali.

Niespodziewana wieść o nagłem cofnięciu się Tatarów ku stronom ruskim podwoiła nadzieję zwycięstwa Polaków. Aliści była to tylko zwyczajna chytrość tatarska, spowodowana bądź zamiarem złożenia w grodach ruskich zagrabionej świeżo łupieży, bądź zwykłym ich trybem posuwania się naprzód ustawicznie, napozór cofając się. Niebawem przy pomocy mrozów zimowych, które wymościły rzeki pobliższe, nadleciały nowe roje Tatarów, będące, jak się zdaje, dopiero strażą przednią armii głównej, kierowanej z dala, kilku różnemi szlakami, ku oznaczonemu miejscu zebrania — Sandomierzowi. Jeden z takich podjazdowych zagonów tatarskich, po drodze z Lublina do Sandomierza, spotkał się pod Opolem z wojskiem książąt polskich. Przyszło do bitwy, która nauczyła rycerstwo chrześcijańskie drżeć przed pogaństwem. Obaj młodzi książęta pierzchli, wojsko poszło w rozsypkę.

Zwycięscy Tatarzy rozlewali się coraz gęściej i coraz gwałtowniej po ziemi sandomierskiej. Dotarli już do poblizkiego Sandomierzowi Zawichostu, który zburzyli. Bolesław Wstydliwy, z matką Grzymisławą i Kingą, schronił się z dotychczasowej swojej siedziby do Krakowa, na zamek. Sandomierz, z całym tłumem okolicznych mieszkańców wszelkiego stanu, szukających bezpieczeństwa za murami ludnego grodu, stał się pastwą dziczy tatarskiej.

Krwawy dzień zwycięstwa tatarskiego — Popielec, 13-go lutego 1241 r. — zadał Sandomierzowi pierwszą z onych klęsk, które powtarzając się w czasach następnych, mianowicie po latach ośmnastu, zmieniły to ludne i bogate ognisko całego handlu pomiędzy Gdańskiem i morzem Baltyckiem a Kijowem i Carogrodem, podobnie jak i sam Kijów, w mieścinę pośledniejszego znaczenia. Pomiędzy ofiarami barbarzyństwa tatarskiego padli wszyscy zakonnicy, wraz z opatem, poblizkiego klasztoru Cystersów w Koprzywnicy, którzy się byli do Sadomierza z niezliczonym tłumem duchowieństwa, szlachty, niewiast, ludu wiejskiego schronili. Wymordowano ich lub w niewolę wieczystą zagnano.

Część jeńców musiała wskazywać Tatarom drogę dalszą po Polsce. Z takimi oto przymusowymi przewodnikami, zapuściło się pogaństwo, po spustoszeniu Sandomierza, wzdłuż północnego wybrzeża Wisły, w ziemię krakowską, aż pod Skarbimierz. Stamtąd, używając zawsze tej samej chytrości pozornego odwrotu, mającej na celu ośmielić i wywabić w pole obrońców kraju, gdyby chcieli jeszcze opierać się najazdowi, cofał się zagon tatarski, z całą zagrabioną zdobyczą, znów ku Sandomierzowi. Podstęp ten przekonał pogan istotnie, że rycerstwo polskie nie straciło wcale ducha i zamierza stawić im opór.

Z Bolesławem Wstydliwym i jego rodziną schroniło się z ziemi sandomierskiej do krakowskiej wiele ludu. Odbywał się tam właśnie,

we wsi Kalina, pod przewodnictwem wojewody krakowskiego Włodzimierza, wiec szlachecki, a celem obrad było wynalezienie środków ku obronie kraju. Wiadomość o cofnięciu się Tatarów z pod Skarbimierza, natchnęła szlachtę zamiarem odbicia jeńców i łupów uprowadzonych. Szczupła była garść rycerstwa, lecz zamiaru nie zaniechano. Poprowadził garść ową na pogan wojewoda Włodzimierz.

Rycerze polscy dopędzili ordę o dwanaście mil, gdy wypoczywała pod Wielkim Turskiem, wsią, leżącą między Połańcem a Osiekiem. Nagłe uderzenie Polaków zatrwożyło pogan. Nie nawykli do mężnego ścierania się z nieprzyjacielem pierś o pierś. Padali przeto, jak kłosy pod sierpem. Widząc klęskę, zażyli zwykłego fortelu. Udali ucieczkę, odbiegając nawet zdobyczy. Fortel udał się. Rycerstwo polskie rzuciło się w pogoń. Tymczasem Tatarzy opasali rycerzy szerokiem z oddali kołem, grożąc im doszczętnem wytępieniem. Wówczas trzeba było ginąć albo uciekać. Wojewoda Włodzimierz uznał za konieczne ocalić się, żeby nie brakło rąk do dalszej obrony kraju. Cofnął się z rycerstwem, Tatarzy rzekomo odnieśli zwycięstwo, lecz doznali strat tak dotkliwych, że pamięć bitwy pod Turskiem zachowała się u nich przez długie lata, a nawet znaleźć można o niej wiadomość u historyków chińskich, którzy nazwę wsi Tursko na Tuliszko przeinaczyli. Przytem znaczna część jeńców polskich, w czasie bitwy, umknęła w lasy przyległe, wybawiając się tym sposobem z hańbiącej niewoli.

Po bitwie rzeczonej, Tatarzy cofnęli się ku północy aż pod Sieciechów, tam ukrywszy się w puszczy Stromieckiej, czekali nadejścia nowych hufców chrześcijańskich, chcąc wypaść na nie z zasadzki. Gdy jednak przez dni kilka Polacy się nie zjawiali, pogaństwo wróciło do miejsca głównego zebrania — do Sandomierza.

Teraz dopiero ściągnęły tam wszystkie siły tatarskie pod wodzą samego Batu-Hana. Po dwudniowym wypoczynku, cała ta siła posunęła się wzdłuż brzegów Wisły, cokolwiek ku północy. Tam rozdzielono się na dwa główne szlaki, które, po złupieniu przeznaczonych sobie ziem, miały się zejść w części, w porze wielkanocnej, w Krakowie. Jeden z tych zagonów, prowadzony przez Ordiuja, rodzonego brata Batu-Hana i przez Bajdura (ten był bratem stryjecznym Batu-Hana), pociągnął na północ, ku ziemi łęczyckiej i Kujawom; drugi, liczniejszy, pod dowództwem samego Batu-Hana, zwrócił się powyżej rzeki Kamienny, na Iłżę, w stronę zachodnią, ku Krakowu.

Tatarzy dlatego skierowali się w ziemie zachodniego porzecza Wisły, wzdłuż dawnych, równolegle z Wisłą idących, traktów handlu bałtyckiego, gdyż okolice pomiędzy Wisłą a Karpatami były skąpo zamieszkane i ubogie, a jako takie nie miały dla grabieżców ponęty. Tem sroższemu spustoszeniu uległy okolice zamożniejsze, na lewym

brzegu Wisły leżące. Zwłaszcza ucierpiały miejscowości, przez które się puścił sam Batu-Han. Należały one do najlepiej uprawnych. Bolesne wspomnienie klęsk i spustoszeń, sprawionych tam przez ordę, przeżyło pamięć wszelkich najazdów nieprzyjaciół późniejszych. Przez długie wieki zachowała droga pierwszego pochodu tatarskiego, wiodąca pobliżem Iłży, na włości biskupie Prandocin i Rzechów, groźną nazwę „szlaku Batu-Hana.". Dziś jeszcze opowiada lud tamtejszy o przejściu płomiennej nawały Tatarów.

Dążyła ta nawała, jak nadmieniliśmy, ku Krakowowi. Mimo porażek pod Opolem i Turskiem, naród nie zaniechał obrony. Książę Bolesław, wciąż przesiadujący z Kingą i matką w zamku krakowskim, wciąż wspierał obronę ową pieniędzmi posagowemi świętobliwej małżonki. Znowu stanęły za nie roty zaciężne. Rycerstwo sandomierskie i krakowskie, wzmocnione niemi, zamierzało wzbronić Tatarom przystępu do stolicy, gdzie, oprócz rodziny książęcej, schroniło się mnóstwo ludności bezbronnej wszelkiego stanu: duchowieństwa świeckiego i z poblizkich klasztorów, starców, niewiast z dziewicami i dziećmi. Broniąc ich ostatniego przytułku w murach krakowskich, stawało w całem znaczeniu do walki o własną krew, o własną rodzinę.

Przeto nie zważając na przeważające znacznie siły tatarskie, postanowili krakowianie i sandomierzanie, pod wodzą swoich wojewodów i kasztelanów: Włodzimierza i Klimunta krakowskich, zaś Pakosława i Jakuba Raciborowicza sandomierskich, oprzeć się nawale pogańskiej w pół drogi, pomiędzy spustoszonemi już biskupiemi Kielcami a przeznaczoną dopiero na złupienie Wiślicą, u wsi Chmielnika około Szydłowa. W niedzielę Białą, czyli ostatnią przed Palmową, w drugiej połowie marca, zbliżyły się tam ku sobie nierówne siły nieprzyjacielskie. Lecz nie odrazu przyszło do bitwy.

Stanowcza różnica pomiędzy azyatyckim sposobem wojowania Tatarów, a europejskim rycerstwa polskiego i węgierskiego, sprawia, że wszystkie niemal zwycięstwa pogańskie, odniesione i w Polsce, i w Węgrzech, jednako się odbyły. Zawsze wodzowie tatarscy kierowali z ubocza ruchami swoich wojsk, a wodzowie chrześcijańscy rzucali się na oślep w szeregi wrogów; zawsze całe wojsko tatarskie tworzyło dwie linie bojowe, z których pierwsza, złożona zwykle z cudzoziemców, zmuszonych siłą do trzymania przymierza z pogany, rzeczywistą czy też udana ucieczką naprowadzała wojowników chrześcijańskich na hufce odwodowe, złożone z rzeczywistych Tatarów, którzy chrześcijan oskrzydlali i pokonywali, — gdy rycerstwo chrześcijańskie, choćby nawet liczbą dorównywało Tatarom, skupiało się w jeden sztywny, nieruchomy kłąb, razem walczący i ginący; zawsze rycerstwo chrześcijańskie ufało swemu szczęściu, zaniedbując najprostszych środków bezpieczeństwa,

jak naprzykład — rozstawiania czat podczas noclegów, ostrożności w pogoni, — gdy Tatarzy przemyślnie korzystali ze wszelkiej sposobności: zbroili się w nocy, uderzali w pierwospy, urządzali zasadzki.

Podobnemi fortelami ze strony tatarskiej odznaczała się bitwa pod Chmielnikiem. Opisaliśmy ją szczegółowo w żywocie Ś-tej Salomei, drukowanym w „Dzwonku Częstochowskim“ w roku ubiegłym, więc powtarzać się nie będziemy. Tu nadmienimy, że rycerstwo polskie pod Chmielnikiem, ściśnięte w jeden zastęp, którego lewą ścianę tworzyli krakowianie, prawą sandomierzanie, rzuciło się natarczywie na pierwszą ławę nieprzyjaciół i po kilku godzinach walki, zmusiło ją do ucieczki. Zapamiętała pogoń, przy nadwątlonych już siłach, zwabiła niebacznych zwycięzców w szeroko rozpostarte ramiona drugiej ławy tatarskiej, która za pomocą, tak znanego w późniejszej dobie dziejów naszych, „tańca tatarskiego“, okrążyła dokoła rycerzy, zarzuciła gęstwą strzał i gradem pocisków. Wszyscy dowódcy polscy: obaj wojewodowie — Włodzimierz i Pakosław, kasztelanowie Klimunt i Jakub Raciborowicz polegli. Polegli też najprzedniejsi rycerze: Krystyn Sulkowic z Niedźwiedzia, Wojciech Stamposzyc, Mikołaj Witowic, Ziemięta, Grabina i Sulisław. lmiona ich, zapewne ze starych roczników kościelnych, przeszły do dziejów — godzi się i dzisiajszemu pokoleniu mieć one we wdzięcznej pamięci.

Po klęsce chmielnickiej, nikt już nie śmiał ordzie zagradzać drogi do Krakowa. Właściwy wówczas książę krakowski, Henryk Pobożny, mieszkał zwykle w ojczystem swojem Księstwie Wrocławskiem, tam też obecnie do rycerskiego przygotowywał się oporu, pozostawiając Kraków Opatrzności Bożej. Książę Bolesław, z Kingą i matką, uszedł czemprędzej z zamku krakowskiego. Straciwszy część skarbów na bezskuteczną obronę kraju; straciwszy pod Chmielnikiem drużynę zbrojną, która obecnie mogłaby mu zasłonić ucieczkę; posiadając przy sobie tylko garstkę najwierniejszych dworzan i domowników, towarzyszących mu raczej z przychylności i dobrej woli, niż z obowiązku lub w nadziei zapłaty: użył młody książę reszty posagu Kingi do zaciągnięcia z pobliskich stron zachodnich nowej drużyny ochotniczej, nowej straży orężnej i pod tą słabą tarczą udał się z rodziną w błędną drogę tułaczą.

Za przykładem księcia poszła znaczniejsza część narodu. Możniejsi schronili się do sąsiednich Węgier i Moraw. Wielu ze skorych do przesiedlenia się mieszczan owczesnych opuściło stolicę, aby gdzieindziej zamieszkawszy, już więcej nie powrócić nad Wisłę. Lud ubogi rozproszył się z całem mieniem w góry przyległe, w lasy, na trzęsawiska. Ocalała reszta rycerstwa krakowskiego i sandomierskiego, niezachwiana w postanowieniu opierania się ordzie, a przeświadczona już o niepodobieństwie oporu ziemi krakowskiej, poniosła swój oręż w dalsze stro-

ny Polski, ku zachodowi, na Śląsk, pod rozkazy księcia Henryka Pobożnego.

Jedynie mała garstka mieszkańców Krakowa i okolicznych została w opuszczonej stolicy. Przenosząc schronisko w miejscu warownem, nad niebezpieczeństwo spóźnionej ucieczki, zamknęli się wszyscy w kościele Ś-go Andrzeja, w pobliżu zamku, po za obrębem miasta. Był to gmach starożytny, o grubych murach, krągłych sklepieniach, rzadkich oknach. Ze względu na obronność budowy, został on już przed laty sześciu, czasu wojen pomiędzy Henrykiem Brodaczem a Konradem księciem Mazowsza, przybudowaniem baszt i oparkanieniem, zamieniony w twierdzę przygodną, mogącą pomieścić jaką taką załogę i zapas żywności. Więc jako w mury forteczne schroniła się pozostała ludność krakowska do kościoła Ś-go Andrzeja i tam oczekiwała nadejścia pogan.

Ci, z pod Chmielnika do Krakowa dążąc, zburzyli po drodze starożytną Wiślicę. Pod Krakowem stanął Batu-Han w niedzielę Kwietnią, dnia 24-go marca. Doznał srogiego zawodu, bo spodziewał się znaleźć w Krakowie łupy bogate, a tu zastał miasto wyludnione. Mniemając, że krakowianie skarby swoje ukryli w kościele Ś-go Andrzeja, nakazał szturmować tę świątynię.

Tatarzy zdobywać miejscowości warownych nie umieli i wogóle brali się do tego rodzaju walki niechętnie. Gdy ich szturm zawiódł, rozpoczęli oblężenie. Do oblężeń przeznaczali Tatarzy zawsze szczupłą liczbę ludzi; największe nawet grody oblegali co najwyżej w 3 lub 4 tysiące. O kościół Ś-go Andrzeja kusiła się jeszcze mniejsza ich liczba, więc oblężeni takiej liczbie podołać mogli. Bronili się też zawzięcie, po bohatersku. Podczas oblężenia, przyprowadzono przed Batu-Hana kapłana chrześcijańskiego, którego znaleziono w opustoszałem mieście, za kratą jakiejś celi samotnej, służącej, pokutniczym obyczajem czasu onego, wpół zamurowanemu, żyjącemu tylko przypadkową jałmużną, za miejsce dobrowolnych udręczeń. Batu-Han kazał puścić wolno kapłana, nie czyniąc mu krzywdy.

Nie znalazłszy w Krakowie pożądanych łupów, Tatarzy użyli czas pobytu w mieście na wypoczynek, na obliczenie dotychczasowej zdobyczy. Nie ruszali się, gdyż tu mieli się spotkać z resztą oddziałów swoich, mających nadejść z wycieczki w strony północne Polski. Tak więc obozowało pogaństwo w Krakowie przez cały Wielki tydzień, bezskutecznie oblegając kościół Ś-go Andrzeja.

W poniedziałek wielkanocny nadciągnęła orda z okolic łęczyckich, zburzywszy po drodze klasztor Panien Norbertanek w Witowie, gdzie z wyjątkiem trzech zakonnic, które w las zbiegły, pozostałe, wraz ze

schronionym w klasztorze ludem okolicznym, śmierć męczeńską poniosły.

Złączenie się obydwóch ord obchodzili Tatarzy tryumfalnie, z radosnemi okrzykami. Zaraz ruszyli w dalszy pochód, jak zawsze kilkoma szlakami, nie chcąc dłużej marnować czasu na oblężenie kościoła i odkładając na potem powetowanie teraźniejszego zawodu. Opuszczając Kraków, podpalili tę stolicę w kilku miejscach.

Teraz główny zagon skierował się na Śląsk, ku Wrocławowi, gdzie miała się złączyć z nim reszta tłumów pogańskich, plondrujących tymczasem Wielkopolskę i ku Odrze stamtąd dążąca. Mniejsza cześć wszystkiej siły Tatarów, prawdopodobnie z Batu-Hanem, pośpieszyła przez góry krakowskie do Węgier, dokąd ich czaty wdzierały się jeszcze przed zajęciem Krakowa. Dopiero po zupełnem ustąpieniu pogaństwa, oblężeni w kościele Ś-go Andrzeja ośmielili się opuścić schronisko. Kraków smutny nad wyraz przedstawiał widok. Pusty, obrócony w perzynę, potrzebował nowego z gruntu odbudowania i zaludnienia.

W ten oto tposób przesunęła się burza mongolska pomiędzy Krakowem a Sandomierzom. Aliści były to tylko dwie małe cząstki Polski ówczesnej, nie obejmujące jeszcze tego z jej krajów, w którym miała zajść główna walka z pogaństwem, to jest — Śląska.

Bitwę pod Lignicą na Śląsku poparł w znacznej mierze oręż rycerstwa, a prawdopodobnie i zaciągów księcia Bolesława Wstydliwego. Wszakże mimo, że zasługa rycerzy nadwiślańskich, położona pod Opolem, Turskiem i Chmielnikiem, nie była jeszcze ostateczną ich zasługą, spotkali Tatarzy już w dotychczasowych walkach z Polakami daleko więcej oporu niż zdobyczy, trudów niż zysku. Książę Bolesław przeniósł nędzę tułaczą nad oddanie hołdu hanowi. Rycerstwo jego wszędy zrywało się do walki bohaterskiej. Kraków powitał pogan zupełną pustką. Droga do Węgier stawała się coraz trudniejszą. Więc należało śpieszyć do celu, którym, jak wiemy, było opanowanie Węgier.

Znagliły ordę do tego jeszcze bardziej wypadki, zaszłe w dalszej ku Zachodowi wyprawie, mianowicie bitwy na Śląsku i w Morawach. Drogo opłacone zwycięstwo pod Lignicą, gdzie cała czwarta część wojska polskiego utworzona była z krakowian i sandomierzan, nie przyniosła Tatarom w zysku nawet Wrocławia. Ta stolica została, równie jak Kraków, opuszczona przez mieszkańców, a nawet spalona, warownia zaś jej oparła się wszelkim szturmom. W Morawach, dokąd Tatarzy po drodze do Węgier wpadli, nietylko żadne z miast obleganych, więc ani Berno, ani Ołumuniec, nie dostały się Tatarom, lecz sami poganie doznali straty dotkliwej, gdyż pod Ołumuńcem zginął jeden z ich „królewiczów".

Największe jednak niebezpieczeństwo zagroziło poganom w Węgrzech. Wprawdzie zdołała przewaga ich oręża odnieść wreszcie zupełne zwycięstwo nad Węgrami, nawet owładnęli na kilkanaście miesięcy całem królestwem; lecz tryumf ten nietrwały opłaciła orda bardzo drogo. W bitwie nad rzeką Sajo, gdzie przeciwko Tatarom stanęła jeśli nie przeważna, to przynajmniej równa siła chrześcijańska, była straszna dla pogan chwila. Cała ich armia miała już pójść w rozsypkę. Sam Batu rzucił się wtedy z orężem w ręku przed swoje uchodzące gromady, wołając:

— Stójcie! Jeśli pierzchniemy, nikt z nas życia nie uniesie. Mamy ginąć, to gińmy wszyscy. Wielki Dżengis-Han przepowiedział, że kiedyś wszyscy będziemy wytępieni. Jeśli to ma się stać dziś, znieśmy klęskę odważnie!

Dopiero to rozpaczliwe wezwanie, oraz użycie przeróżnych forteli, wsadzanie na konie worów wypchanych, które miały nastraszyć chrześcijan widokiem rzekomo nowoprzybyłych oddziałów, przeważyło zwycięstwo na stronę pogan. Wprawdzie wynagrodzili sobie Tatarzy wszelkie niebezpieczeństwa i trudy całorocznym pobytem w bogatej krainie węgierskiej.

Z Węgier północnych wtargnął jeden zagon Tatarów po raz drugi do Polski, wpadł do Krakowa, zrządził więcej szkody niż pierwszym razem (zamordowano wtedy onego kapłana-pustelnika, ocalonego przez Batu-Hana) i przez góry oświecimskie wrócił do Węgier. Lecz dalej ku Zachodowi nie ośmielili się przedzierać poganie w ziemie chrześcijańskie, gdzie doznali tylu niebezpieczeństw. Orda wielce się dziwiła zawsze, jeśli kto nie brał, gdy wziąć zdarzała się jakakolwiek sposobność, ale z drugiej strony działała zawsze z rozwagą i wyrachowaniem. Przeto chociaż ani w Polsce, ani w Węgrzech nie doznali Tatarzy ostatecznego pogromu; chociaż po całorocznym pobycie nad Dunajem nie groziło im niebezpieczeństwo ze strony dalszych krain europejskich: mimo to cofnęli się dobrowolnie znów kilkoma szlakami, najliczniej w kierunku południowym, bądź też przez zaoszczędzone przezornie na powrót okolice gór halickich. Cofnęli się zaś z onych krwawych progów chrześcijańskiego Zachodu ku Donowi i Wołdze, uprowadzając w dalekie strony Azyi całe cmentarze trupów, poległych z ręki rycerzy chrześcijańskich.

Zatem nie pogłosce o śmierci wielkiego hana Ottaja zawdzięczały dalsze krainy Zachodu powstrzymanie się Tatarów od ich granic, bo ta pogłoska doszła pogan dopiero w rok po bitwie lignickiej; nie temu lub owemu zdarzeniu niespodziewanemu należy ich cofnięcie się przypisać gdyż żadne nie wpłynęło na losy ich wyprawy; nie zachwiała pogan nawet wielka ofiara pod Legnicą, a tembardziej drobniejsze porażki w Mo-

rawach, bo grasujący na Śląsku i Morawach zagon tatarski nie zamierzał dążyć dalej na Zachód, lecz według ułożonego z góry planu, śpieszył połączyć się z resztą ordy w Węgrzech. Rozpatrując się w wyprawie pogańskiej, przychodzimy do wniosku, że nie ze Śląska lub Moraw, lecz z głównego stanowiska Tatarów w Węgrzech, po całorocznym tam spoczynku, mogli oni ruszyć dalej ku Zachodowi. Jeżeli jednak tego nie uczynili, to wskutek niepowodzeń, jakich doznali nad Wisłą, Odrą, Morawą i Dunajem; niepowodzeń wprawdzie drobnych, jeśli je brać pojedyńczo, z osobna, lecz nader dotkliwych i nieopłaconych zagarniętemi łupy. Tę zaś okoliczność, że w tej ogólnej zasłudze chlubnie uczestniczył naród polski, zwłaszcza ziemie krakowska i sandomierska, należy w bardzo znacznej mierze zawdzięczać pomocy Ś-tej Kingi, to jest — jej posagowi.

Odczuwał i uznawał to dobrodziejstwo Bolesław, lecz nie mógł się tak zaraz wywdzięczyć. Wiele się na to złożyło przyczyn, że musiał odwlec wypłatę długu posagowego. Naprzód musiał „otrząsnąć się z wędrownego pyłu tułactwa“, które trwało nadspodziewanie długo. Z kraju do kraju gnała Bolesława burza mongolska. Zdawało się, jakoby rozpasane pogaństwo pędziło śladem uciekającej przed niem świątobliwej rodziny książęcej. Ledwie Bolesław z matką i Kingą zwrócił się do Krakowa, już orda całą krakowską zalała ziemię. Ledwie przez góry zbiegł do Węgier, już Tatarzy w trop za nim przez Tatry nad Dunaj wpadli. Zagrożony przez nich w Węgrzech, chroni się do Moraw, w jakimś klasztorze Cystersów, lecz i tam przecina mu drogę zagon pogański, dążący ze Śląska ku Węgrom. Wraca więc książę-tułacz z rodziną do Polski, uwolnionej już od pogaństwa i w zamku nad Dunajcem oczekuje końca niedoli.

Gdy wreszcie owa klęska tatarska przeminęła, otworzyło się dla Bolesława nowe źródło frasunków. Po kolejnej śmierci obydwóch jego opiekunów, zacnych Henryków Brodacza i Pobożnego, poczęli teraz dobijać się o stolicę krakowską, której on był prawowitym dziedzicem, dwaj niegodni spółzawodnicy: syn Henryka Pobożnego, Bolesław, przezwany Rogatką i stary stryj Wstydliwego — Konrad książę Mazowsza. Od pierwszego uwolniła Wstydliwego szlachta krakowska, która wypędziła Rogatkę; Konrada mazowieckiego zaś zwyciężył on sam pod Suchodołem, we dwa lata po napadzie tatarskim.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

W Azyi: Korea, Chiny.

Dlaczego przeniesiono nas do trybunału lewej strony? Za co mnie uwięziono? Nie mogłem dowiedzieć się, nic nie mogliśmy przedsięwziąć, pozostawało nam jedynie utrzymywać dusze nasze w zjednoczeniu i poddaniu woli Boga, gotowi stanąć przed Majestatem Jego, skoro zechce nas do siebie powołać. Mieliśmy nadzieję, że to wkrótce nastąpi. Wtem 21 marca z rana rozeszła się pogłoska, która obudziła pewne nadzieje. Dowiedziano się, że królowa powiła syna, mniemano zatem, że jedni więźniowie zostaną uwolnieni zupełnie, inni będą mieli zmniejszone kary, gdyż istotnie według praw miejscowych przez sto następnych dni egzekucye i tortury bywają zawieszone. W ciągu dnia pogłoska stwierdzoną została; królowa Min, żona obecnie panującego monarchy, powiła drugiego syna; starszego rząd chiński już przed trzema laty uznał następcą tronu.

W istocie badania i egzekucye ustały, ale od czasu do czasu nowych więźniów przyprowadzano; raz przybył blady, kurzem okryty więzień, był to Pyen-mum, nasz posłaniec. Nie mogłem go zrazu poznać tak był zmieniony; przyaresztowany na początku stycznia, zniósł srogie tortury, wreszcie wysłano go do stolicy. Tutaj, niestety, umieszczono go

w więzieniu złodziei, gdzie bardziej jeszcze osłabł z głodu i zaniedbania; parę razy spostrzegliśmy go na dziedzińcu, mogliśmy nawet dać mu trochę ryżu. Ostatni raz widziałem go w połowie maja z rana, a wieczorem ciało jego do trupiarni wrzucono; jednak naczelnik siepaczy powątpiewał o jego śmierci i tegoż dnia jeszcze posłał, aby się o tem przekonać, dozorca ją stwierdził.

20 kwietnia wprowadzono jakąś osobę już w wieku, która głąb kaźni zajęła; wchodząc, z pogardą rzuciła wzrokiem po nas, zdziwiona widocznie, że ją w tak lichem towarzystwie umieszczają. „Ja tu długo nie zostanę, mówiła, przez pomyłkę wtrącono mnie tutaj, przecież nie jestem złodziejką, tem mniej *ktyen-dzijuaka*“ (miano wzgardliwe chrześcijan). Nie chciała pożywienia więziennego, kazała sobie przynosić z miasta; trwało to tak długo, póki miała pieniądze; była dumną, znieważała nas. Sprawa jej jednak zły obrót wzięła, zaprzestano jej przynosić z zewnątrz pożywienia, wreszcie dostała gorączki tyfoidalnej. Nasze chrześcijanki z poświęceniem pilnowały jej dzień i noc, znosiły opryskliwość i zniewagi; pięć dni była nieprzytomną, nikt się o nią nie troszczył, byłaby z pewnością umarła, gdyby nie starania tych trzech chrześcijanek. Opamiętała się jednak później i przepraszała je; zostawiłem ją jeszcze w więzieniu.

Przykre wrażenie wywołuje przybycie nowego więźnia, uwolnienie zaś powszechną wzbudza radość, każdy się cieszy ze szczęśliwego uwolnienia współtowarzyszy.

Skoro nowy więzień przybywa, prowadzący go żołnierz woła u drzwi trybunału: „Zbrodniarza wprowadzają.” W połowie kwietnia słyszę ten smutny okrzyk. Po chwili wchodzi trzech więźniów, poznajemy, że nie są chrześcijanami, zamykają ich do kaźni złodziei. Niebawem słyszymy razy kijów, krzyki, jęki, szamotania, trzeszczenie i stuki dyb; po jakimś czasie wchodzą dwaj dozorcy i mówią: „Nie wyjdą oni stąd żywi, poważyli się bić siepacza.“

We dwa dni później wprowadzono jakiegoś bonzę; siedział on naprzód razem z dłużnikami, ale gdy dostał tyfusu, wyrobili sobie, że go do nas przeniesiono. Przez cały tydzień był jak martwy. Robiliśmy co tylko było w naszej mocy dla przyniesienia mu ulgi, zbywało jednak na wszystkiem; powoli wracał do życia, zdawał się spokojny, łagodny, małomówny, trudno było dopatrzeć w nim zbrodniarza. Opowiedział nam wreszcie swoją historyę, Mając 12 lat wstąpił do bonzów, tam uczył się pisma chińskiego, potem robił sztuczne kwiaty, od dwóch lat oddawał się malarstwu; przed kilku tygodniami siepacze wpadli i uprowadzili go do więzienia, a to z następującej przyczyny. Jego Bonza kupił był kradzione rzeczy od złodziei, siepacze, wysłani przez urząd, nie znalazłszy bonzy, wzięli jego towarzysza, a i innych mieszkańców

wsi zabrać chcieli; ci stawili opór, zdołali zaledwie uprowadzić tych trzech, o których wyżej mówiłem. Widywałem ich niekiedy na dziedzińcu, zdawali się poczciwi i byli silnie zbudowani, odzienie mieli zakrwawione po odebranych w więzieniu razach, przekonano się później o ich niewinności i po miesiącu wyszli z więzienia, naturalnie bez żadnego zadośćuczynienia: taka to w Korei sprawiedliwość.

1 在天我等父者。我等
2 願爾名見聖爾國臨
3 格。爾旨承行於地如
4 於天焉。我等望爾今
5 日與我我日用糧。而免
6 我債如我亦免負我債
7 者。又不我許陷於誘感。
8 乃救我於凶惡。亞孟。

„Ojcze nasz“ po chińsku.
(początek wierszy oznaczony numerami 1, 2, 3 i t. d.)

W tymże czasie stawił się dobrowolnie w więzieniu 20-letni młodzieniec, nazwiskiem Pak. „Dowiedziałem się, mówił, żeście uwięzili mojego biskupa, że więzicie chrześcijan, ja jestem również chrześcijaninem, mnie nie schwytaliście, ale oto sam się stawiam. Rodziców moich zabiliście w 1868 r., miałem wówczas lat 10, ale pamiętałem ich

nauki. Czczę Boga, Stworzyciela nieba i ziemi, który wszystkiem rządzi, daje nam życie i pożywienie. On cierpiał za nas, i ja też pragnę cierpieć dla niego, chcę ponosić wasze tortury, morzcie mnie głodem i pragnieniem, połamcie mi ręce i nogi, życie moje do Boga należy." Siepacze wzięli go za szaleńca i chcieli odesłać, gdy nalegał, wypędzono go, powrócił prosząc o cierpienie, jak o łaskę, w końcu sędzia kazał go uwięzić. Nie widział nigdy misyonarzy i nie znał chrześcijan, wiedział tylko, że jego rodzice umarli dla Boga i on chciał śmiecią ich umrzeć. Siepacze nieraz mówili mi o nim, chwaląc jego dobroć i słodycz; dwa dni przebył z nami, potem przeniesiono go do kaźni złodziei; nie brano go na tortury, ale jak inni wiele ucierpiał z głodu. Dozorców bawiła jego prostota, kazali mu odmawiać pacierze, dziesięcioro przykazań i t. p. Po wyjściu mojem z więzienia nie wiem, co się z nim stało.

Często widywaliśmy, jak wynoszono trupy złodziei zmarłych z głodu, nędzy i choroby. Gdy złodziej zachoruje, wcale o niego nie dbają, nie zmieniają z nim postępowania, nawet z dyb go nie zwalniają; kiedy już skona, czterech złodziei pod okiem dozorcy wynosi ciało do trupiarni, w nocy najniżsi służalcy zaszywają je w worek i wyrzucają za mury miasta.

Wakacye trwały długo, wreszcie sprzykrzyły się sędziemu. Złodzieje przepełniali więzienia, a sprawy zalegały, to też nie czekając stu dni, zwiastowano nam, że zaczną się badania.

Zaczęto od niedawno przybyłego złodzieja, którego wydał i ujął siepacz, blizki jego krewny. 3 maja otworzono trupiarnię i wyniesiono powróz. Jan powiedział mi, że kogoś uduszą, ale kogo? nikt nie wiedział, a każdy myślał o sobie. Nieco później zamknięto drzwi od wszystkich kaźni; było to w czasie wieczornego posiłku; dozorcy weszli do więzienia złodziei, zawołali na nieszczęsnego: „Chodź, zdławimy cię!" Na to straszne wezwanie złodzieje, choć już oswojeni z takiemi egzekucyami i pomimo głodu, wypuścili jednak z rąk kubki z ryżem. Skazanego wprowadzają do trupiarni, zawiązują mu powróz u szyi, jeden koniec przerzucają na dziedziniec, drzwi zamykają. Czterech dozorców porywa z dziedzińca koniec powrozu i poczynają ciągnąć jak majtki żagiel na statku; gdy już dobrze powróz ściągnęli, przywiązują go do pnia, i już po egzekucyi. We dwie godziny później młody dozorca zajrzał przez szczelinę i rzekł ze śmiechem: „Jeszcze rusza nogami" — powróz mocniej ściągnięto.

Wyrok spełniony został cicho, nie słychać było ani krzyku, ani jęków ofiary. W ten to sposób całe setki, jeżeli nie tysiące chrześcijan, zgładzono w prześladowaniu 1866 — 1868 r. Wieczorem otworzono drzwi, zaraz wszyscy więźniowie poganie zczęli mocno spluwać, aby

dusza straconego nie wróciła do więzienia. Dwie czarownice, które z nami uwięzione były, wszystkich w tem przeszły, przez trzy minuty pluły ku drzwiom i to z zupełnem przekonaniem nieochybnego skutku.

Czarownice (*mastang*) w Korei zajmują się wróżbą i odpędzaniem chorób, szczególniej ospy; wdziewają świąteczne, jaskrawe suknie, biją w bęben, wymawiając pewne zaklęcia, powoli naprzód, potem coraz prędzej. Machają w powietrzu na prawo i na lewo, posrebrzaną drewnianą szablą z czerwonemi plamami, chodzą, krzyczą, skaczą, wyją, a gdy z sił opadną, zły duch już musiał umknąć. Jednego razu, niewiadomo z jakiego powodu, rozkaz wydano do uwięzienia wszystkich czarownic w stolicy, niektóre opłaciły się jednakże i spełniały nocami swoje dość korzystne rzemiosło. Wszystkie w naszej kaźni zamykano, a było ich z piętnaście; z początku były krzyki, płacze, lamenta, nawet jeść nie chciały, wkrótce jednak uspokoiły się, rodziny dostarczały im z miasta czego chciały, więc i hulać mogły, a że były hojne, dzieliły się z chrześcijankami i mnie nawet częstowały winem z ryżu, ale odmówiłem. Jan nie miał moich powodów do odmowy i dostał parę kubków tego wina. Były tam rozmaite czarownice: stare, młode, smutne, wesołe i t. d., niektóre przyzwoicie zachowywały się, inne z bezczelną bezwstydnością; wszystkie w ustawicznych z sobą kłótniach i swarach. Jaka różnica z naszemi chrześcijankami, które dobrocią i uczynnością ujmowały sobie wszystkich! Widziałem także w więzieniu kilku komedyantów, czy też skoczków; były to spodlone obrzydłe istoty, cały czas oddawały się grze; wielu było uwięzionych za długi, tak, że w tym czasie wszyskich więźniów było 75.

Odkąd rozpoczęto na nowo badania, sądziliśmy, że zawezwą nas i nie będziemy już dłużej gnili w więzieniu. 11 maja wieczorem usłyszałem, jak młoda chrześcijanka mówiła do Jana:

— Powiedzże to biskupowi.

— O co idzie? — zapytałem.

— Jutro biskup się dowie—odrzekł Jan.

— Czemuż nie dziś jeszcze, kiedy już wszyscy wiecie.

— Nadeszły rozkazy rządu: biskupa i mnie wyprowadzą za mury miasta i tam nam głowy zetną; resztę chrześcijan uduszą tutaj w trupiarni; tej młodej kobiety tylko kat nie chce zadławić, ale jej da trucizny. To już jest pewne, wszystko ma się skończyć do 16 t. m.

Ponieważ ta wiadomość wyszła od naczelnika dozorców, nie mogła być wątpliwą, trzeba nam zatem gotować się na śmierć. Nie mogłem spowiadać chrześcijan, bo byli między nami poganie, zawiadomiłem ich tedy, aby się przygotowali, gdyż nazajutrz udzielę im rozgrzeszenia.

Nazajutrz rano, 12 maja, wyniesiono trupa z kaźni złodziei; był to chrześcijanin, który umarł w nocy. Dowiedziałem się później, że będąc

chorym, prosił o trochę wody, a dozorca tak go zbił, że biedak umarł. Około godziny 9 dałem znak, że udzielę rozgrzeszenia wszystkim wiernym. Niestety, niepodobna było uprzedzić zamkniętych ze złodziejami chrześcijan, na chwilę skupili się w duchu, wymówiłem słowa rozgrzeszenia.



Chiny. W braku kościoła chrześcijanie chińczycy zebrani na modlitwę i naukę religii pod drzewem, na którem widnieje krzyż i na którego konarach dzwon zawieszono.

We wtorek rano powtarzaliśmy sobie: „Może to już dziś na nas kolej."

Jednak i ten i dwa następne dni przeszły spokojnie. Czyby zmieniono postanowienie? Jan wątlał widocznie, często chorował, i ja byłem osłabiony; zauważyli to odwiedzający nas siepacze.

Z początku mogłem używać cokolwiek powietrza i kilka kroków przejść po dziedzińcu, ale później tylu więźniów przybyło, że ruszać się nie było można. Nadto i gorąco czuć się dawało. Nasza kaźnia coraz to nieznośniejszą się stawała, szczególniej gdy przyprowadzono trzy żony złodziei z drobnemi dziećmi, były one nadzwyczaj złe, niechlujne i wyuzdane.

I tak dni i tygodnie mijały, nie przynosząc nic nowego; od czasu do czasu tylko słyszeć się dawał krzyk przeraźliwy, zwiastujący przybycie nowych więźniów, rzadko zaś okrzyki z powodu wypuszczenia ich na wolność. Lecz wtedy wszyscy się cieszyli, odzywała się nadzieja, bo każdy naturalnie i o sobie pomyślał. Jeżeli uwolniony był zamożny, obdarzał zwykle pozostających kilkoma korcami ryżu, a więc uczta, podwójne porcye; kucharzem był jeden z więźniów, który zawsze w takich wypadkach nie zaniedbywał składać ofiar. Jak tylko przyniesiono ryż, kucharz brał z niego łyżkę i podawał urzędnikowi, który zanosił ją do jakiegoś bałwana, będącego w więzieniu złodziei, drugą łyżkę rzucał przez kraty do trupiarni, odmawiając wezwanie do szatana miejscowego: „Spraw, aby ten a ten prędko był wypuszczony!“ Jeżeli ofiara była ogólną, mówił: „Spraw, aby wszyscy więźniowie jutro rano stąd wyszli!” Ale poganie krzyczeli: „Nie, nie jutro, ale dziś jeszcze, dziś wieczorem!”

A kucharz znów woła:

„Spraw, aby wszyscy dziś wieczór jeszcze wyszli, wszyscy, aby ani jeden tu nie pozostał!“

Wszystkim tym objawom towarzyszyły żarty, krzyki, skoki, a jednak żaden nie poważyłby się pominąć tych komedyi. Czarownice przedewszystkiem drżały na samą myśl niedopełnienia ich, jak drżały, gdy światła w nocy nie było; wszędzie upatrywały duchów i szatanów.

W końcu maja miewaliśmy nieznośne upały, czuć się dawał brak powietrza w kaźni. Jan często zapadał. Co pocznę, gdy go zabraknie? Wiek i rozum dawały mu powagę, był uważany za naczelnika w naszem więzieniu; dla mnie był obroną i jedyną pociechą; z nim tylko rozmawiałem, sam był małomówny i roztropny.

Mieliśmy zawsze na sobie nasze suknie zimowe, od pięciu miesięcy nie zmieniane, brudne, prawie zbutwiałe zupełnie; parę razy prosiłem o inne, obiecywano, ale na obietnicy się kończyło; wypruliśmy z nich watę, aby były lżejsze; robactwo nas pożerało, a słoma wydawała woń odrażającą.

Te szczegóły malują dosadnie nasze położenie. Ileż razy myślałem o papieżu Marcelinie, którego cesarz Maksencyusz skazał na mieszkanie w oborze i posługę do bydła! To wspomnienie dodawało mi odwagi, a zresztą świeże przykłady moich poprzedników, trzech biskupów i ty-

lu współbraci, którzy w tem, od 50 lat istniejącem więzieniu, przebywali w tej samej kaźni!

Zdawało się znowu, że o nas zapomniano, długie więzienie straszną jest dla chrześcijan próbą! Ciało słabnie, duch wątleje, charakter się psuje; tylko żywa wiara, wytrwała pobożność, a nadewszystko szczera miłość Pana Boga, mogą uchronić od zwątpienia i zniechęcenia. Wszakże jakkolwiek próba jest ciężką, pomoc łaski żywo czuć się daje; moi towarzysze, chrześcijanie, trwali ciągle w modlitwie, ufności w Bogu i w zupełnem podaniu się wyrokom Opatrzności; jednak ma-



Chiny.—Wielki mandaryn sędzia ze swoim sługą.

wiali czasem: „Jak długo tu siedzieć będziemy? Jeżeli nas mają zabić, oby to jak najrychlej uczynili.“ To znów błysła nadzieja prędkiego uwolnienia, wspomnienie domu, rodziny, żywo się przedstawiało, lecz to przechodziło jak sen, a rzeczywistość było to więzienie, ustawiczne więzienie, więzienie bez końca.

Nazajutrz po Wniebowstąpieniu Pańskiem, dowiedzieliśmy się, iż dwóch prefektów policyi przybywa na sądy do mieszkania siepaczy, obok więzienia. Dobra wiadomość, cóż może być gorszego od więzienia!

Jakoż w piątek, 1 czerwca, wchodzą siepacze i każą mi iść za sobą. Przechodzimy przez dziedziniec, drzwi więzienia otwierają się, staję przed sędziami, między dwoma szpalerami siepaczy. Sędziowie ubrani są w barwne szaty jedwabne, kapelusze strojne klejnotami. Siedzą, trzymając wachlarze i palą fajki na długich cybuchach. Siepacze spoglądają na mnie protekcyonalnie, z uśmiechem dobrych znajomych.

Rozmowa jakoś nie szła, zdawało się, jakby sędzia sam nie wiedział, o co ma pytać. Skorzystałem z tego i rzekłem:

— Oddawna już jestem uwięziony. Rząd nic nie postanawia; gdyby mi wolno było widzieć króla, miałbym do niego prośbę, nie mogąc stanąć przed panującym, upraszam wysokiego sądu o przedłożenie mu słów moich:

Religię naszą znacie dostatecznie, wiecie, że naucza dobrych rzeczy, wskazuje ludziom przepisy, które zdolne są uczynić ich sprawiedliwymi i zacnymi obywatelami. Pod błahymi pozorami wzbraniano jej dotąd, nie wiem, jakie jest zdanie panującego, ale błagam go, aby mi pozwolił pozostać w Korei i tu wiarę moją rozszerzać. Korzystnem to będzie i dla państwa i dla mieszkańców... To jest pragnienie moje najżywsze i to jest, co chcialbym przedłożyć monarsze.

Sędzia Ni-kyang-ha badawczo na mnie patrzał, uśmiechnął się wzgardliwie, poczem cicho dał rozkaz do odprowadzenia mnie napowrót.

Po powrocie do więzienia wszyscy towarzysze wlepili we mnie wzrok, chcąc wyrok odgadnąć, ale ja sam nie wiedziałem, co postanowiono, nie wiedziałem prawie o co szło, przypuszczałem jednak, że musiano odebrać jakieś rozkazy, ale skąd i jakie, nie wiedziałem. Opowiedziałem wszystko Janowi, którego to niemniej zastanowiło.

Sędziowie odjechali, jeden udał się do królewskiego pałacu, a drugi do wielkiego mistrza. Potem wszystko w więzieniu wróciło do dawnego porządku.

Między więźniami znajdował się od paru dni pretoryanin, który zaraz po uwięzieniu zbliżył się do mnie, mówiąc, iż często słyszał o naszej religii, wielu jego przyjaciół porzuciło dość wysokie nawet stanowiska, aby ją wyznawać; dodał, iż wszyscy oni byli prawi i zacni ludzie, którym nic zgoła nie można było zarzucić.

— A dla czego sam jej nie wyznajesz?

— Co do mnie, nadto dbałem o swoje stanowisko, nie chciałem wyrzec się majątku; zresztą stosuję się do zwyczajów mojej ojczyzny, ale szanuję i kocham chrześcijan.

— Czy wielu ich uwięziono w twojej prowincyi?

— Ani jednego, nawet ich nie śledzą; zresztą po cóż więzić ludzi, którzy nikomu nic złego nie robią.

— Czy nie uwięziono tam jakich Ojców?

— Szukano ich pilnie, ale napróżno; wiem, że ani jednego jeszcze nie ujęto.

Te wiadomości wydały mi się pewne i bardzo mnie pocieszyły. Rzadko spotyka się ludzi tak otwarcie mówiących. Historyę swoją opowiedział Janowi: uwięziono go za długi, a nie miał ani grosza na ich spłacenie.

— Wiem, że tu umrę, ale raz tylko się umiera.

Tak jest, niestety, raz tylko się umiera, ale dusza!?... Jakżebym był pragnął go nawrócić!

Widziałem go nieco później, wracał z trybunału, posługacz niósł go zemdlałego, ze zwieszoną głową po strasznych torturach; wielkie



Chiny. — Wróżbita z Szang-haju.

wrażenie wywołało to w więzieniu: w godzinę zaledwie przywrócono go do życia i opatrzono rany. Nic już później nie dowiedziałem się o nim.

Dnia 5 czerwca obchodziłem rocznicę mego kapłaństwa; uprzedziłem chrześcijan, że to dla nas wszystkich będzie święto. Wtem naczelnik odwachu staje w wielkiej gali przede mną i mówi:

— Przywdziej uroczysty strój i pójdź za mną!

Uściskałem rękę Jana, pobłogosławiłem chrześcijan i idę za naczelnikiem do izby siepaczy, na zewnątrz więzienia, potem wchodzę na pusty dziedziniec innego więzienia. Tam dano mi wody: prawdziwą rozkosz uczułem, myjąc twarz, ręce i nogi. Słońce świeciło, ujrzałem

trochę zielonej trawy, kilka krzewów i drzew; widziałem niebo, nawet góry w oddaleniu, wszystko mi się wydało nowe i urocze.

Kilku siepaczy przystąpiło do mnie z oznajmieniem, że mam być wysłany do Chin, do Pekinu; tam oddadzą mnie Europejczykom; tymczasem każą mi zrobić nowe odzienie na drogę; skoro będzie gotowe, wyruszę w podróż.

Można sobie wyobrazić, co się działo w mojej duszy: pociecha, bo będę wolny, ale i smutek, bo muszę opuścić owieczki od Boga mi powierzone; a zresztą czy to jeszcze wszystko prawda?

— Czy rad jesteś, że wyjeżdżasz?

— Jakże mam się cieszyć! Wiecie dobrze, że jednej tylko rzeczy pragnę, to jest, aby mi wolno było tu pozostać, nauczać i rozszerzać wiarę chrześcijańską; jeżeli mnie wydalą, zostawię tylu chrześcijan w więzieniu, jakżeż nie mam się smucić?...

— Ale i chrześcijan wszystkich uwolnią

— Czy być może?

— Niezawodnie, jak ich pan odjedzie, niema się ich co obawiać; oni sami nic zrobić nie mogą; wszyscy wrócą do domów.

— Jakto, bez męczarni, bez badań?

— Niezawodnie.

Cóż o tem myśleć? Wiedziałem, jak kłamią, sądziłem nawet, że mnie przenoszą, aby mnie zabić.

Wkrótce potem rozeszła się w mieście pogłoska, że wyszedłem z więzienia i jestem w pokojach rządowych, gdzie mnie widzieć można. Wnet tłumy ciekawych zaległy trybunał, trzeba było się zamykać, ale i to nie pomogło, wdrapywano się przez mury. Siepacze sprowadzali swych krewnych i znajomych, a wszystkich należało przyjmować, odpowiadać na pytania. Lud stolicy istotnie dobry, wszyscy grzecznie i przychylnie odzywali się do mnie, nawet i sama szlachta schodziła się, naraz po trzydziestu i więcej.

Mandaryn, gubernator więzienia, mieszkał w trybunale, zabrał mnie do siebie, gdzie w gronie jego przyjaciół mogliśmy swobodnie rozmawiać, mogłem nawet mówić o religii. Wieczorami gubernator przywoływał mnie do siebie; nawet pomnę, że dwa razy do późnej siedzieliśmy nocy, chętnie mnie słuchał, podziwiał opowiadanie o stworzeniu świata, tłumaczenie dziesięcioro przykazań.

Wszyscy mówili o moim wyjeździe, dodając: „Dobrze, że go odsyłają, nie można było inaczej postąpić.“ Nie opuszczała mnie jednak trwoga o moich biednych chrześcijan. Pewnego dnia zapytałem sędziego:

— Czy nie mógłbym widzieć Jana Czoi?

— Chcesz go widzieć, to drobnostka, wszystkich chrześcijan każę ci tu przyprowadzić.

W istocie tak uczynił. Widok ich przyniósł mi pociechę, starałem się pokrzepić ich ufność, zachęcałem do cierpliwości. Stary Jan dłużej ze mną pozostał, zapytałem sędziego, co się z nim stanie.

— Wszystkich uwolnię, niema ich po co więzić, kiedy wodza oddalimy.

— Czy to już pewne?

— Niezawodnie, po twoim wyjeździe wszystkich wypuścimy, oddadzą *Czoi-Laing-czen* (Janowi) dom, który zajmowałeś i wszystko, co doń należy.

Jan był smutny.

— A więc nie ujrzę więcej oblicza mego biskupa?

— Odwagi, Janie! zobaczymy się z pewnością w niebie...

Wrócił do więzienia i już go więcej nie widziałem.

Kufry moje przeniesiono z trybunału po prawej stronie, otworzono je w obecności kilku oficerów i wszystko rozłożono na ziemi. Rzeczy były poprzewracane, potłuczone, spisali, co było i dali mi do podpisania.

— Nie cieszysz się z powrotu do ojczyzny? Przyznaj się, możeś tam co przeciw rządowi swemu przewinił?

— Nie, nic tam złego nie popełniłem!

Nie usiłowałem im tłumaczyć ani mego położenia, ani moich zamiarów na przyszłość; nie byłoby to ani rozsądnie, ani roztropnie. Wypędzony z Korei, nie rozstawałem się wszakże z myślą powrotu do moich dzieci w Chrystusie Panu; ale obawy, kiedy to nastąpi, co się z nimi przez ten czas stanie, nie dozwalały mi cieszyć się wolnością.

Dnia 10 czerwca dano mi suknie nowe, ale z lichego płótna; nazajutrz musiałem stolicę opuścić. Późno wieczorem przyszło kilku siepaczy ze swoim naczelnikiem *Ni* i oświadczyli:

— Wracając do kraju, nie potrzebujesz już ksiąg chińskich, ani korejskich, których nikt u was nie rozumie; prefekt policyi rozkazał nam zaraz spalić je wszystkie tu, w twojej obecności.

Protestowałem, ale bezskutecznie; w istocie, taki był rozkaz prefekta policyi.

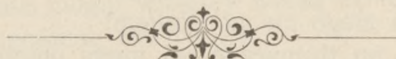
Na nowo więc otworzono moje paki, wybrano z nich wszystko, co było z chińskiemi lub korejskiemi literami, nawet europejskie książki, w których cokolwiek liter chińskich było, nasze rękopisma, studya nad językiem; szczęściem, co ważniejsze, zostały w Chinach. Wybrawszy to wszystko, wrzucono napowrót resztę. Choć znużony niezmiernie, chciałem trochę porządniej poskładać rzeczy, ale mi tego nie dozwolono.

— Jakże można tak nieporządnie do wysokości li tylko pół skrzyni rzucone rzeczy zamykać; toż przecie wszystko zniszczy się i zmarnuje.

Roześmiali się na to, zamknęli i opieczętowali paki, obwiązawszy je słomiankami; książki spalono na dziedzińcu. Wzywali mnie, abym patrzał na stos płonący, ale odmówiłem stanowczo, usiadłem w kącie wśród śmiechów i wrzasków tych ludzi, którzy dopiero późno w noc rozeszli się.

Nie mogłem usnąć, a bardzo rano wstać trzeba było; deszcz lał na dworze, czułem zimno, to znów gorąco, coraz bardziej słabłem. Z miłością tedy garnąłem się do Najsłodszego Serca Pana naszego, który tak wielkiego smutku doznawał w Ogrojcu, polecałem Najświętszej Pannie siebie samego, misyonarzy, nasze dziatki i wszystkich naszych chrześcijan, których opuszczać musiałem. Od iluż to lat misya korejska żyje w katakumbach, ileż zniosła prześladowań! Zawsze w konaniu, jękach i cierpieniu! Ileż to ruin, a męczenników ilu! I oto znów oddalać się zniewolony jestem!

(D. c. n.)



Niepokalanie Poczęta.

Gwiaździsta wieńczy Jej skroń korona,
W słoneczną szatę odziana,
Nad wszystkie chóry niebian wzniesiona, —
Najczystsza, Niepokalana...

Nie było słońca, ni blasku zorzy,
A w myśli Bożej — już żyła;
W Niej się odbijał już promień Boży,
Świętości kształtem już była...

A gdy na ziemię przyszła — wybrana,
By światu dać Zbawiciela, —
Zasługa Syna na Nią przelana,
Wśród rajskich duchów wesela...

Potok wezbrany, co szatan zmącił,
Co w nurtach cały świat schłonął,
U stóp Jej fale mętne roztrącił:
Jadem Nań grzechu nie zionął...

Wygnaniec z raju widział w natchnieniu,
Jak zgniotła węża Jej noga,
Jak w Jej świętości jasnym promieniu
Zdradny nie przemknął cień wroga.

Jakie Jej imię — znają narody;
Jaka potęga — któż nie wie?...
U stóp Jej świątyń wzrastają grody;
Nieci się wiary zarzewie.

Więc pod obronę Jej uciekajmy,
Ona nie wzgardzi modłami...
W pomoc matczyną Jej zaufajmy,
Bośmy Jej z krzyża synami.

Żytomierz. *Ks. Paweł Korwin-Kamieński.*



Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy"

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

SCENA XI.

Żołnierze rzymscy wchodzą i osadzają wejścia. Za nimi Arcykapłan, Pomponiusz i Kapłani. — Satur, Artaxiusz i reszta chrześcijan usuwają się nieco na stronę i otaczają Satura,

Arcykapłan (wchodząc z pośpiechem).

Gdzie ci bluźniercy?

Kapłan pierwszy.

To miejsce ich schadzki.

Arcykapłan (postrzegając chrześcijan).

Ha! tuś mi wreszcie rodzie świętokradzki,
Tuś mi! — i przyszedł koniec waszych zbrodni!

(do żołnierzy, wskazując na chrześcijan).

Imajcie, wiążcie, krępujcie w żelaza,
Wleczcie do lochów! aż, jako są godni,
We krwi ich bogów zmyje się obraza.

(Żołnierze rzucają się na chrześcijan, którzy żadnego nie czynią oporu).

Satur (do Arcykapłana).

Kapłanie Feba! przecz się nadaremnie
Unosisz gniewem? — Jeśli ci powinność
Imać nas każe, toć i my wzajemnie
Spełnimy swoją; — i jeśli niewinność
Nie jest nam tarczą: — patrz! nikt się nie broni
Mocy praw waszych. Wstrzymaj gwałt żołnierstwa!...

Arcykapłan.

Kto jest zuchwalec, co się tu odważa
Dawać mi rady?

Satur.

Sługa Boga, który
I mnie i ciebie równo widzi z góry.

Arcykapłan (do Pomponiusza).

Centuryonie! w imieniu Cesarza,
Każ go zwlec z szaty, i niechaj kaźń bicza
Pomści zniewagi mojego oblicza.

(Pomponiusz z żołnierzami przystępuje do spełnienia rozkazu).

Jedna z niewiast.

(z dzieckiem na ręku, wybiegając z tłumu chrześcijan, staje między nim a Saturem).

Stój! nie śmiej ręki podnieść na Świętego!
Patrz! (odkrywa zasłonę).

Pomponiusz.

Perpetua! o, ja nieszczęśliwy!

Arcykapłan.

Cóż jest?

Perpetua.

Jam żona, a to syn jego!
Jam chrześcijanka — a Bóg nasz prawdziwy!

Arcykapłan.

Centuryonie! Bogowie ci dają
Pole do chwały; do ciebie należy
Prawo jej życia: — uderz, niech poznają
Moc wiary naszej i rzymskich żołnierzy!

Perpetua.

Nie! nie, mój mężu! ty nie będziesz katem.
Tyś prawy w myślach, — i Pan cię oświeci.
Niech sama Roma przed swym majestatem,
Skazuje na śmierć niewiasty i dzieci.
Ja ufam w Panu, że słowem i czynem
Wyznam Go przed nią...

Arcykapłan (do Pomponiusza).

Cóż się wahasz, podły?
Uderz!...

Pomponiusz.

O, żono! miej litość nad synem!

Perpetua (podając mu dziecię).

Bierz go! — łzy moje ochrzczą go, a modły
Sprawią przed Panem, że zbawi was obu.
Żegnaj! — jam wierna była ci do grobu...

Arcykapłan.

(odtrącając ją od męża).

Bluźnierko! — hola! żołnierze!

(wskazując na Pomponiusza).

On zdradza
Powinność swoją; — lecz tu przy mnie władza.
Okuć ją w więzy! odebrać jej dziecię!

(Żołnierze otaczają Perpetuę i chcą wydrzeć jej dziecię. Perpetua, broniąc się, podaje je ojcu).

Pomponiusz (porywając dziecię).

Stójcie! to syn mój! a jam żołnierz Romy.
Nikt, prócz cesarza i wodza, nikt w świecie
Sądzić mię nie śmie!...

(Żołnierze odstępują, uprowadzając Perpetuę. Pomponiusz z dzieckiem na ręku, postępuje za nimi w głąb gmachu).

Arcykapłan.

Oby Zeusa gromy,
Oby Erebu piekielne tortury
Starły nędznika, co swój głos natury
Przeniósł nad rozkaz kapłana swej wiary!

Satur.

Bóg prawy takiej nie żąda ofiary.

Arcykapłan.

Milcz!

(do kapłanów).

Wy wnet sami skrępujcie bluźniercę,
Aż mi Prokonsul zda sąd jego losu.
Obaczym jutro, jak w płomieniach stosu
Zuchwałej mowie będzie wtórzyć serce!...

(kapłani krępują Satura).

Arcykapłan.

(do jednego z kapłanów).

Gdzie jest ów pasterz? Każ mu, niech poznaje
Dwie te niewiasty, które widział z rana.

(Hałas u wnijścia. — Kilku kapłanów i lud prowadzą gwałtem Kwintusa, który się z rąk ich wydziera).

SCENA XII.

Ciż i Kwintus.

Kwintus.

Puśćcie mię, puśćcie! cóż to się wam zdaje,
Że mnie waszego strach Arcykapłana? —



Dilectae filiae Mariae Czarnecka
Apostolicam Benedictionem ex animo
impertimus
Pius PP. X

Fotografia Ojca Ś-go Piusa X, z własnoręcznym podpisem i błogosławieństwem.

Pójdę sam, puśćcie! powiem mu sto razy,
Że wasze Bogi, są to martwe głazy,
Igraszka czarta, ludzkich rąk robota,
A cześć ich — głupstwo, lub fałsz i sromota.

Arcykapłan.

Skąd ten szaleniec?

Jeden z kapłanów.

Czaty, któreś, Panie,
Kazał rozesłać koło murów miasta
Tu go przywiodły; a jak zła niewiasta,
Potoki obelg zionie nieprzerwanie.

Arcykapłan.

Precz z nim! i wtrącić do lochów świątyni,
Skąd go i samo echo nie dosłyszy.

(wskazując na Satura).

Tego i resztę jego towarzyszy
Poruczyć straży; lecz samym iść przy niej
I dawać baczność na Centuryona.
Ja muszę dalej.

(Żołnierze wyprowadzają po kolei Perpetuę, Kwintusa i resztę chrześcijan. Kapłani stawają w około i prowadzą ku drzwiom Satura).

SCENA XIII.

Satur, Arcykapłan, Pomponiusz i kapłani. Deodatus, Felicyta i Kryspina (w zasłonach) wchodzą prowadzone przez lud i innych kapłanów. Za niemi pasterz.

Satur (postrzegając wchodzących).

Nieba!

Pasterz

(przybiegając do Arcykapłana i wskazując na wchodzącą Kryspinę i Felicytę).

Oto ona!
To ta niewiasta! — i ta! —

(Arcykapłan postępuje szybko przeciw wchodzącym, wznosząc rękę, jak do zerwania zasłony).

Satur.

(wydziera się z pośrodka wiodących go kapłanów i staje między nim a Felicytą).

Stój! przez litość
Nad sobą samym! każ odejść tej zgrai.

(wskazuje na lud i żołnierzy).

Wstrzymaj się! mówię, i szanuj jej skrytość!
Ty nie przeczuwasz, co się pod nią tai!...

(Arcykapłan wstrzymuje się zatrwożony i wlepia pytający wzrok w Satura. Lud i żołnierze na znak jego wychodzą. Pomponiusz z dzieckiem na ręku pozostaje u wnijścia).

Felicyta (uchylając zasłonę).

Jam jest, mój ojcze!...

Arcykapłan.

O, córko! o, Febie!
Teraz pojmuję — ty byłaś ich branką...
Śmiercią ich wszystkich pomszczę się za ciebie!
O! pójdź, pójdź!...

Felicyta.

Ojcze! jam jest chrześcijanką...

Arcykapłan.

Ty? ty? — o, ziemio! rozstąp się pode mną!
O, śmierci! czuję, czuję noc twą ciemną...
Córko! (upada na ręce kapłanów).

Felicyta, (rzucając się przed nim na kolana).

O, Boże! o, dodaj mi mocy!

Satur, (trzeźwiąc omdlałego).

On żyje, córko! — znam skuteczne leki.
Sam tu zostanę być mu ku pomocy.
Ty odejdź! — trzeba, by wzniósłszy powieki,
Nie spotkał znowu twojego widoku.

(do Pomponiusza).

Centuryonie! ty pełń twą powinność:
Razem z twą żoną wiedź ją przy twym boku.

Stopień jej ojca i niewiast niewinność,
Zmiękczą nad niemi srogość prawa Romy.

Pomponiusz.

O, niech mię spalą wszystkie niebios gromy!
Jeśli nie zechcę, wszystkiemi siłami,
Zbawić was wszystkich, lub sam umrę z wami!...

(odchodzi z Felicytą Kryspiną i Deodatem).

SCENA XIV.

Satur i Arcykapłan zemdlony na ręku kapłanów.

Satur (wskazując siedzenie).

Tu, tu go złóżcie! — Wody! — tam jest źródło.

(kapłani biegną we wskazaną stronę).

Satur (sam przy zemdlonym, wznosząc ręce ku Niebu).

Panie, miej litość nad ojcowską duszą!
Krewkie go serce do grzechu uwiodło,
Daj, niech go serca odkupi katuszą!

(Kapłani wracają. Jeden z nich podaje Saturowi naczynie z wodą).

Jest woda...

Satur.

Cicho! głosem go przestraszam...

(zajmuje się trzeźwieniem omdlałego).

Arcykapłan (dając znak życia).

Ach!

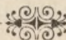
Satur.

Żyje!

(do kapłanów).

Teraz jam znów więźniem waszym.

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XIII.

— Zaklika, tyżeś?... Czy mnie słuch zwodzi?... — zapytał głos w pobliżu.

— Jam jest!—dała się słyszeć z jękiem bolesnem wyrzeczona odpowiedź.

— A, do szatana!... ratuj mnie!...

— A tyżeś graf Wrzeszczewicz? — zapytał głos słaby, przerywany bólem.

— Jam jest... wpadłem wraz z koniem w bagnisko... ratuj!

Jęk straszliwy był odpowiedzią na to wezwanie.

Zaklika tracił siły. W głowie czuł żar, zdawało mu się, że cały świat zapadał się z nim w otchłań.

— Todt und Teufel!—zaklął znowu graf—ratuj, Zaklika!... Gdzież jesteś, do pioruna?!...

Stłumiony jęk był odpowiedzią na to wezwanie.

— On ginie!... on ranny!... — krzyknął graf z rozpaczą i straszna myśl przebiegła mu przez głowę, że jego tenże sam los czeka.

Gwar i wrzawa utarczki wojennej ucichły gdzieś w oddali.

Po nad wierzchołkami świerków i sosen wicher przelatywał, posępnem szumem napełniając wnętrze boru.

— Ginę! — krzyknął graf — do stu piorunów! ratunku!...

Chwilę trwało głuche milczenie, aż nagle ozwało się wdzięczne granie na piszczałeczce czy też na flecie, zupełnie wesołe jakieś, na nutę krakowiaka.

— Co za bies?!... — krzyknął graf.

Nadzieja zatliła się w sercu jego.

— Hej, Bub!—wołał na nieodstępnego zwykle pachołka—gdzieś się podział, kundlu?...

Odpowiedzi znowu nie było, natomiast jeszcze piskliwiej dał się słyszeć głos piszczałki i rzecz nie do wiary, dzwonienie jakichś dzwoneczków.

Rumak Wrzeszczewicza zaczął rzucać się w bagnisku i pogrążył się w niem aż po grzywę.

To doprowadziło do wściekłości jego pana.

Klął po niemiecku, po czesku i po polsku, a zarazem pogrążał się coraz głębiej w trzęsawisku. Wtem spojrzał na polankę i spostrzegł szybko zbliżającą się w stronę bagniska karlą jakąś postać, wielce dziwaczną.

Był to jakby obraz złego ducha, nie człowieka.

— Hejże! — zawołał graf — kto się zbliża?...

Dziwaczna postać, o ciemnej cerze twarzy, przybrana z turecka, w kaftan zielony, szerokie szarawary i fez czerwony na czarnej kędzierzawej głowie, posłyszawszy głos z bagniska, zatrzymała się.

— Ktoś jest? — powtórzył grąf.

Dziwaczna postać skurczyła się, zawróciła nagle i chciała uciekać.

Graf z trudem wyciągnął rękę, w której ściskał głownię pistoletu.

— Stój, bo zginiesz! — groził, usiłując mierzyć w stronę karła — ostatnią kulę poślę za tobą!...

Pogróżka snać poskutkowała, bo uciekający wstrzymał się.

— Ktoś jest? — powtórzył graf gniewnie.

Karzeł upadł na zaśnieżoną polankę, przyklęknął, założył ręce na piersi i zaczął bić pokłony czołem do ziemi.

— Co za licho! — mruknął drżący z gniewu Wrzeszczewicz.

— Gadaj, ktoś jest, nie kiwaj się! — zawołał.

Karzeł, widząc rycerza w bagnisku z wyciągniętą ku sobie ręką, zbrojną w pistolet, widocznie przeląkł się bardzo, bo drżał i coraz niższe ukłony bił do samej ziemi, przyczem bełkotał z kiepska po polsku:

— Sułtan Mahomet jestem... łaski!.. nic wam złego nie zrobię...

— Bies?... albo waryat!—zgrzytnął Wrzeszczewicz—co za sułtan?...

— Wesołek jestem... śmieszek jaśnie wielmożnego wojewody kaliskiego... Rodem z za morza jestem...

— Błazen! — krzyknął graf — dajże cię katu!... A uczyńże krzyk wielki, że tu ludzie w przeklętych mokradłach toną... Jestem hrabią... nagrodzę cię... popamiętasz hojność moją... Ratuj mnie jeno... ratuj!...

— Sam zabłąkałem się... bitwa była straszliwa... sam nie wiem, gdzie jestem... Grałem na piszczałeczce, ażeby ludzie mnie usłyszeli, dzwoniłem dzwoneczkami, ale nadaremnie...

— Dokoła nie widzisz nikogo?...

— Ani żywej duszy...

— Ratujże mnie, kundlu jeden, bo zginę...

— Nie wiem jak, miłościwy panie!...

— Biegnij co żywo na skraj lasu... Tam stoją ludzie moi przy karocy... Powiedz im, żem w nieszczęściu... Biegnij co żywo!...

Karzeł porwał się z klęczek i żywo poskoczył we wskazanym kierunku.

Istotnie ujrzał wśród pola, na wązkiej drożynie, wijącej się w stronę Olsztyna i Częstochowy, wspaniałą karocę i kilku ludzi przy niej.

Ci, spostrzegłszy z dala dziwaczną postać Murzynka, wzięli go z początku za złego ducha, ale gdy usłyszeli krzyk i wołanie o pomoc, że pan ich tonie w bagnisku, porzucili konie i karetę i poczęli biedz ku nawołującemu ich wesołkowi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wołali — mara to, czy człek żywy?...

Ale rozpaczliwe krzyki karła-murzynka, że pan w bagnisku tonie, otrzeźwiły ich. Oprzytomnieli i biegli za wesołkiem, nie bez zabobonnej jednakże trwogi w sercu.

Jakoż przybiegłszy nad bagnisko, przekonali się, że owo półdyable prawdę mówiło.

Istotnie tak było: graf nurzał się w bagnisku, nawpół już przytomny z gniewu i utraty sił.

Natychmiast poskoczyli słudzy po powrozy i po szerokie deski do poblizkiej wioski, co zabrało dosyć czasu.

Uczynili ogromną wrzawę, zwołali ludzi i przystąpili niezwłocznie do wydobycia z błotnistej toni tak grafa jak Zakliki.

Po kwadransie pracy udało im się dokonać tego dość trudnego zadania.

Obaj uratowani spoczywali na śniegu, mając pod sobą grunt twardy.

Graf wnet przyszedł do sił i zerwał się na równe nogi.

— Dajcie mi świeżego konia! — zawołał na służbę — lub podjedźcie tu z karocą...

Ludzie rzucili się, aby spełnić ten rozkaz.

— Nuże, mości pułkowniku, hejże, mości Zaklika — wołał graf — żyjesz, czyś umarł?...

Odpowiedzi nie było: Zaklika, jak kloc ściętego drzewa, leżał bez ruchu na śnieżnem posłaniu, pokryty błotem, z zakrwawioną twarzą, z ranami w oczach i na czole.

— Dajcie mi pokój! — jęczał — żar piekielny mam w głowie... płonę w bólu, jak smolna żagiew... Potępionym... potępiony!...

— Powstań! — nalegał graf — powiedz, coś tu robił?... Skąd się tu wziąłeś?...

Ale zbrodzień rękoma tylko dał znak, że pragnie powstać, lecz nic nie mówił.

— Dajcie mu wina! — rozkazał Wrzeszczewicz — on z sił zanadto opadł...

Jakoż z własnej blaszanki, który miał u boku, kazał wlać w rozchylone usta Zakliki wyborowego trunku, co rannego zaraz pokrzepiło.

— Dajcie i mnie, najmiłościwszy panie! — odezwał się w tejże chwili jakiś głos pokorny — jam też prawie nieboszczyk, bo z innego pochodzę świata.

Graf obejrzał się: mówił to karzeł-wesołek czyli błazen imci wojewody kaliskiego.

— Dajcież i jemu wina! — rozkazał.

— A tyś się skąd tutaj przybłąkał? — zapytał karła po chwili.

— Z jaśnie wielmożną panią wojewodziną jechaliśmy z Kielc do Kalisza...

— Z wojewodziną Grudzińską?...

— Tak... jeno w drodze Szwedzi nas pochwycili... Bitwa była okrutna...

— A z kimże?

— A z ludźmi pana Czarnieckiego... z kimżeby?...

— Głupiś!... gdzie zaś panu Czarnieckiemu do tych stron... Zbójcy was prędzej opadli—tak, jako i mnie... Banda to jakaś zuchwała!... Ale już ich tam pewnie wybił co do nogi i powywieszał oddział załogi olsztyńskiej... Jeśli tego nie zrobił, to ja to w krótkim czasie zrobię...

Karzeł pokręcił głową.

— Sułtan widział moc ludzi pana Czarnieckiego — mówił z przekonaniem.

Ale Wrzeszczewicz już go nie słuchał, wydając nagle rozkazy do przewiezienia omdlałego wciąż Zakliki na poblizki zamek olsztyński.

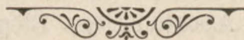
— Zaraz tu moi ludzie i oddział szwedzki wróci z pościgu tej zuchwałej bandy zbójców... Chwilę jeno poczekamy...

Czuł się zmęczonym, więc usiadł na pniu zwalonego drzewa i zwolna pokrzepiał się winem.

Ani się spodziewał, że kilkogodzinna, jak myślał, wycieczka w celu pokrzyżowania planów Zakliki i pochwycenia pań Janowickich, skończy się tak opłakanie.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.

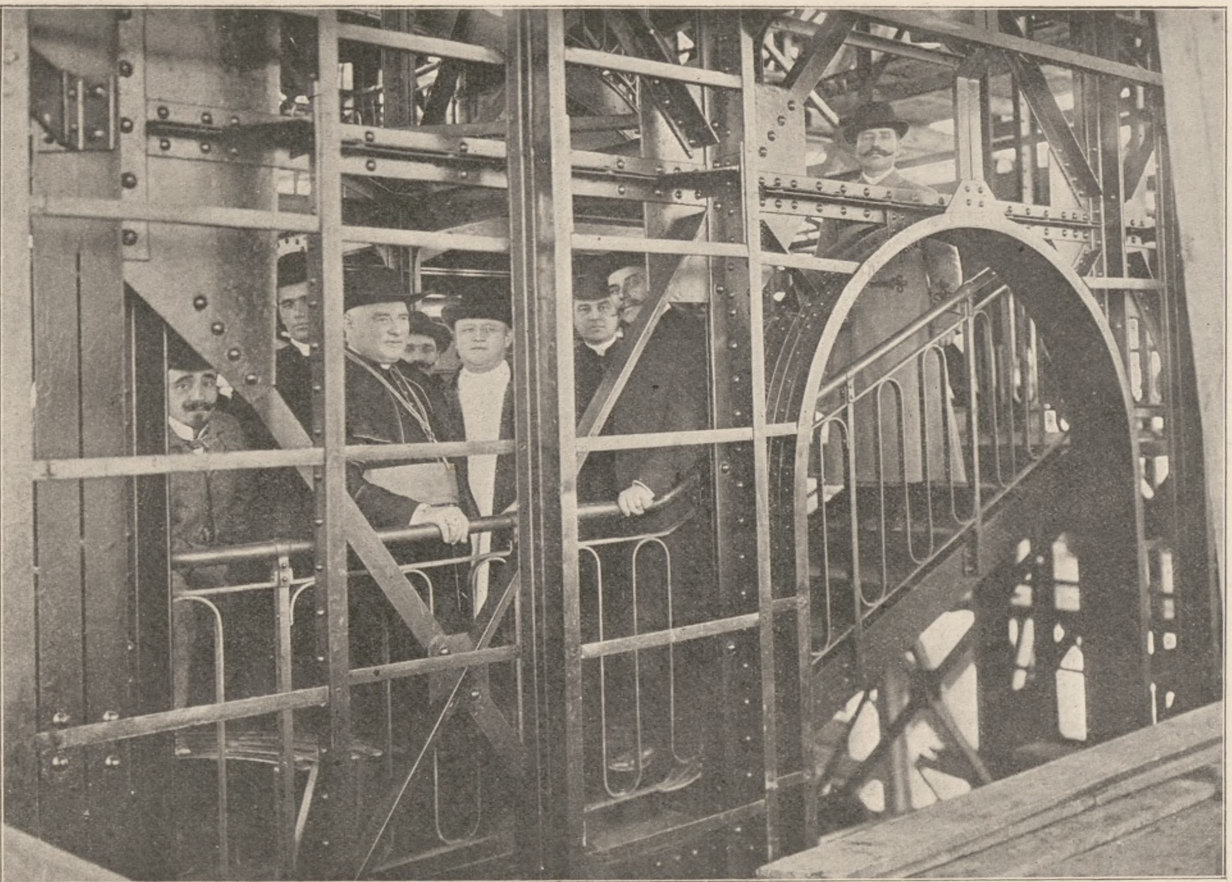


Nowiny z Częstochowy.

Jego Ekscelencya ks. biskup Kujawsko-Kaliski na Jasnej Górze. O godzinie 6-ej wieczorem, w d. 5 września dzwony klasztoru Jasnogórskiego oznajmiły radosnym dźwiękiem przybycie Najdostojniejszego Pasterza J. E. ks. biskupa Stanisława Zdzitowieckiego do świątyni Jasnogórskiej. Przy pierwszej bramie klasztornej przewielebny ksiądz przeor klasztoru w otoczeniu OO. Paulinów, licznie zgromadzonego świeckiego duchowieństwa i nieprzejrzanej rzeszy wiernych powitał uroczyście Pasterza dyecezyi i przy dźwiękach pieśni „Kto się w opiekę“ poprowadził Go przed wielki ołtarz.

Tu Najdostojniejszy Pasterz udzielił błogosławieństwa apostolskiego wiernym i poszedł do kaplicy Matki Najświętszej, gdzie przed Jej cudownym obrazem długo się modlił. Pobytem swem Jego Ekscelencya radował serca wiernych do d. 13 września. W ciągu tego czasu udzielił Sakramentu Bierzmowania przeszło 6000 wiernym.

W uroczystość Narodzenia Matki Boskiej celebrował sumę, a w niedzielę, t. j. d. 11 września wyświęcił dyakona Lipińskiego na kapłana, W ten sam dzień po południu o godzinie 5-ej Najdostojniejszy Pasterz odwiedził Schronienie Paralityków, gdzie poświęcił kapliczkę urządzoną przez czcigodną fundatorkę zakładu p. Maryę Czarnecką. Najdostojniejszy Pasterz, zwiedzając szczegółowo wszystkie sale Zakładu, serdecznie i czule przemawiał do chorych, wykazując im potrzebę cierpliwości w znoszeniu dolegliwości fizycznych i pobudzał do wdzięczności dla niestrudzonej fundatorki i opiekunki Zakładu, która cicho i skromnie, ale wytrwale i energicznie mrówczą pracą zdobywa środki materyalne dla ulżenia ciężkiej doli biedaków. Zachęcał wszystkich do gorącej modlitwy przed Najświętszym Sekramentem w nowootworzonej kapliczce, wreszcie udzielił wszystkim Apostolskiego Błogosławieństwa.



Jego Ekscelencya ks. biskup kujawsko-kaliski, Stanisław Zdzitowiecki podczas zwiedzania żelaznej części nowobudowanej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Ujmujący i pełen prostoty w obejściu, Najdostojniejszy Pasterz zwrócił się ze słowami uznania tak do fundatorki zakładu, jak i do tych, którzy biorą udział w pracy i zabiegach dla podtrzymaniu egzystencyi rzeczonego Schroniska.

Rozrzewniona dobrocią Najdostojniejszego Pasterza czcigodna p. Czarnecka przedstawiła z szlachetną dumą dobrej katoliczki drogocenny dar, jaki otrzymała na audyencyi z rąk Jego Świętobliwości, Piusa X, to jest fotografię Ojca Świętego z własnoręcznym Jego po łacinie podpisem: „Ukochanej córce Maryi Czarneckiej Błogosławieństwo Apostolskie z serca udzielam.“ Nowy to a wzruszający dowód, jak Ojciec Święty odczuwa każdy czyn miłosierny spełniony w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Wizyta pasterska w kościele parafialnym Świętej Barbary w Częstochowie. Jego Ekscelencya ksiądz biskup Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki, Pasterz dyecezyi kujawsko-kaliskiej, w tegorocznym szeregu wizyt pasterskich, odbywanych od wiosny roku zeszłego w poruczonej sobie dyecezyi, poświęcił tutejszy kościół parafialny Ś-ej Barbary. Przybył doń d. 3 września wieczorem, powitany przez miejscowego proboszcza ks. prałata M. Lorentowicza, licznie zgromadzonych kapłanów, wśród których zauważyliśmy wszystkich dotychczasowych współpracowników ks. prałata na zajmowanych przezeń probostwach — a oraz kilkutysięczną rzeszę ludu wiernego, przeważnie parafian Ś-ej Barbary. Uroczyście odbył się ingres Jego Ekscelencyi do kościoła Ś-ej Barbary. Po zachowaniu tego wszystkiego, co przepisy Kościoła zalecają przy wizycie kanonicznej biskupa dyecezyalnego — i po zajęciu przez Najdostojniejszego Pasterza miejsca na przygotowanym dlań wspaniałym tronie, ks. prałat Lorentowicz zwrócił się do Jego Ekscelencyi z następującą przemową:

Przemówienie do J. E. ks. biskupa St. K. Zdzitowieckiego, Pasterza dyecezyi kujawsko-kaliskiej w dniu Jego ingresu do kościoła Świętej Barbary w Częstochowie.

dnia 3 września 1904 roku.

Excellentissime Proesul! — Najdostojniejszy Pasterzu nasz!

Uroczyste i radosne pienia, które w języku liturgicznym wykonał przed chwilą chór tutejszy w imieniu wszystkich owieczek, pieczy Two-

jej powierzonych, cząstkę wielkiej owczarni Twojej stanowiących—zwiastowały nam, że przybył do nas Kapłan wielki — Sacerdos magnus. Tak jest w istocie. Stajesz bo wśród nas — Excellentissime Domino, jako Biskup katolicki, nasz zwierzchnik duchowny, jako prawy następca Apostołów, zjednoczony z Głową Kościoła naszego świętego, przybywszy do nas—jako pasterz do swych owieczek, jako ojciec do swych dzieci.

Jako takiego — Ekscelencyo — i ja — i współpracownicy moi — i cała parafia Ś-ej Barbary — witamy Cię z głębi serc naszych, płynącem uczuciem radości i wdzięczności. Jednocześnie u stóp Twoich składamy zapewnienie o naszem do Ciebie synowskiem przywiązaniu, posłuszeństwie i najgłębszem uszanowaniu. Tem radośniejszem dla nas przybycie Twoje do nas, Najdostojniejszy Pasterzu, że świątynia tutejsza od dnia konsekracyi, a więc od r. 1643 witać się zdaje w murach swoich po raz pierwszy Biskupa, wchodzącego do niej w charakterze pasterskim. Korne racz za to, Excellentissime — przyjąć dzięki, że, niezmordowany w pracy apostolskiej, po objęciu przed niespełna dwoma laty rządów obszernej dyecezyi kujawsko-kaliskiej, w szeregu wizyt biskupich, w przeciągu krótkiego czasu tak już wielu odbytych, i nas raczyłeś odwiedzić.

Zbyt dobrze i Tobie, Excelentissime Proesul — i wszystkim tu obecnym — jest znaną historya kościoła tutejszego oraz istniejącego przy nim cudownego źródła, abym ją miał odtwarzać. Wiadomem Ci jest także, Najdostojniejszy Pasterzu, że od trzynastu dopiero lat utworzoną tu została parafia przez poprzednika Twojego ś. p. biskupa Aleksandra Kazimierza Bereśniewiecza, a utworzoną była w celu podźwignięciu tego drogiego dla serc naszych, zespolonego nierozerwalnym węzłem z Jasną-Górą miejsca świętego, że z woli pomienionego zgasłego w Panu biskupa Aleksandra, mnie się dostało w udziale *odkupienie* z jednej strony tego, co niegdyś własność kościelną stanowiło — a z drugiej *urządzenie i uporządkowanie* tak tej starożytnej świątyni, jak niemniej drugiej Ś-go Rocha, łącznie z cmentarzem grzebalnym—a i gmachu na mieszkanie dla kapłanów i służby kościelnej przeznaczonego, że jako pierwszy proboszcz tej parafii — przy łasce Bożej — pośrednictwie Najświętszej Panienki Jasnogórskiej oraz patronki kościoła tutejszego i parafii Ś-ej Barbary, przy pomocy moich współpracowników, wtedy zwłaszcza, gdym spełnił po za Częstochową inne obowiązki dyecezyalne, a tu — w miarę potrzeby dojeżdżał — przy ofiarności poczciwego ludu naszego, naprzód moich parafian, a potem innych osób, do parafii nienależących, głównie pątników to święte miejsce odwiedzających i groszem ofiarnym zasilających, zdołałem w ciągu lat trzynastu mojego tutaj pasterzowania doprowadzić wszystko do stanu, w jakim

się znajduje obecnie. Szczegółową relacyę, strony materyalnej tak obudwóch kościołów, jak niemniej zabudowań plebańskich dotyczącą, znajdzie Wasza Pasterska Mość w księdze, którą będę miał zaszczyt mu przedstawić. Nie widzę dlatego potrzeby nad tym przedmiotem dłużej się rozwodzić.

Więcej Cię zresztą, Pasterzu nasz, obchodzić będzie stan moralno-religijny moich owieczek.

Ogólnie mówiąc, nie mogę na nie się skarżyć. Należą one, z małym wyjątkiem, do ludzi głęboko przywiązanych do wiary praojców, kochają Kościół święty, otaczają szczerym szacunkiem Jego pomazańców i ministrów. Znajduje się wśród nich poważna liczba obojga płci przystępujących często do Sakramentów świętych, iście chrześcljański żywot wiodących. Głos mój i moich współpracowników — rady nasze i napomnienia dla ogółu nie bywają bezowocnemi. — To mówię na pociechę pasterskiego serca Twojego — Najdostojniejszy Zwierzchniku nasz.

Ale i zasmucić Cię jednocześnie muszę, bo jak wszędzie—i wśród moich owieczek, niestety, są wyjątki.

Pomimo odbywanej corocznie od lat 12 wizyty parafialnej i ponawianych niejednokrotnie w ciągu roku odwiedzin pasterskich tych i owych owieczek moich, co ściśle nie przestrzegają przepisów Bożych i przykazań Kościoła ś-go, kąkolu wyplenić nie możemy.

Najgłówniejszą wadą, wśród zwłaszcza zajmujących się handlem świętościami, jest opuszczanie nabożeństw w niedziele i święta, mimo że tyle się odprawia Mszy świętych na Jasnej-Górze i tyle w kościele tutejszym. Wielu z tej wady się poprawiło, inni zdają się zatykać uszy na nasze nawoływania.

Nie brakuje też w mojej parafii oddanych nałogom: pijaństwa i kradzieży, acz ich jest stosunkowo niewielu. Ale za to uprawiających przemytnictwo w pasie nadgranicznym jest dość znaczna liczba. Tych ostatnich nie przerażają nawet wypadki nagłej śmierci, obarczonych liczną rodziną, zabitych wtedy, gdy, niosąc kontrabandę, ratowali się ucieczką.

Mam ci ja tu też ku wielkiej mojej zgryzocie i zmartwieniu kilku osobników, w konkubinacie żyjących, niejednokrotnie osobiście przezemnie upominanych. Mam, niestety, i takich, co od wielu już lat nie zbliżali się do trybunału pokuty.

...Jest to czarna karta dziejów powierzonej mi owczarni. W pracy nad wykorzenieniem złego nie ustaję, modlę się codziennie za wykraczających i jestem gotów podać im każdej chwili dłoń ojcowską. To jednak nie dosyć mi daje wewnętrznego zadowolenia.

...Przyjazd Twój do nas — Excellentissime Domine — łaski Ducha świętego, któremi owieczki moje wzmacniać będziesz, słowa Twoje Ojcowskie, przestrogi i upomnienia, Twoja za moje owieczki modlitwa utwierdzi, tuszymy sobie, dobrych parafian na drodze Bożej, a złych i krnąbrnych, nieszczęsnych prawdziwie, boć oni spokoju sumienia nie doznają, sprowadzi na pastwisko najlepszego Ojca i Pana Boga naszego.

Oby to Stwórca Przedwieczny sprawić raczył!

Skończyłem. Nic mi nie pozostaje obecnie, jak prosić Cię, Najdostojniejszy Pasterzu, o błogosławieństwo dla mnie, dla współpracowników moich i dla moich owieczek.

W odpowiedzi na to przemówienie, pełnej ciepła ojcowskiego, uczcił Jego Ekscelencya pamięć zmarłego poprzednika swojego ś. p. biskupa Aleksandra Kazimierza Bereśniewicza, składając Mu dzięki za utworzenie parafii przy kościele Ś-ej Barbary. Podniósł następnie zasługi pierwszego tej parafii proboszcza wyżej rzeczonego ks. prałata Lorentowicza, oddając Mu publiczne uznanie za jego 13-letnią pracę przy kościele Ś-ej Barbary. Pochwalił następnie dobrych i gorliwych parafian Ś-ej Barbary, karcąc złe i niedbałe owieczki. Te ostatnie nawoływał na drogę Bożą, polecał je opiece Serca Jezusowego, przyobiecawszy modlić się za nie przez dwa dni pobytu u Świętej Barbary. Odprawił w końcu J. E. procesyę żałobną i udzielił w końcu uroczystego błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem.

W niedzielę, d. 4 września celebrował J. E. pontyfikalnie nabożeństwo w kościele Świętej Barbary, udzielił zupełnego odpustu wiernym i katechizował dzieci, dziękując za dobre ich przygotowanie tak ks. prałatowi-proboszczowi, jak niemniej ks. Bronisławowi Jaskulskiemu, dotychczasowemu wikaryuszowi Ś-ej Barbary, obecnie odbywającemu studya w Akademii duchownej w Petersburgu.

Sakramentu Bierzmowania udzielał Jego Ekscelencya w dniach 4 i 5 września. Wybierzmował razem 3569 osób. Pod wieczór dnia 5 września opuścił Jego Ekscelencya kościół Ś-ej Barbary, udając się na Jasną-Górę.

Budowa wieży. Roboty na wieży postępują prawidłowo. Część żelazna — mianowicie jej montarz zabrał sporo czasu, lecz ma się już ku końcowi.

Roboty blacharskie rozpoczęte, nawet część konstrukcyi już pokryta. Całe pokrycie uskutecznia się z blachy miedzianej, bez użycia drzewa, więc bez podszalowania, wprost na żeberkach żelaznych — wskutek



Kompania z Kalisza, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, u stóp Jasnej-Góry.

czego raz na zawsze jest wykluczone niebezpieczeństwo ognia. W całej wieży od dołu do samego wierzchołka urządzone są obecnie schody żelazne — z takąż balustradą, nadzwyczaj wygodne i widne, zastosowane w zupełności do celu, jakiemu mają odpowiadać.

Da Bóg, a w niedalekiej już przyszłości ujrzymy na szczycie krzyż złocisty, który koronując dzieło, oznajmi tem samem, że najważniejsze roboty na wieży ukończono.

List do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego.“ Nie mogę się wstrzymać, aby na większą cześć i chwałę Matki miłosierdzia, nie opowiedzieć cudu, którego i ja niegodna od Niej doznałam.

Mam lat 51, w styczniu ciężko zachorowałam na zapalenie płuc i opłucną z wysiękiem, a przytem i na nogę. — Choroby od razu niepoznano, traktowano inaczej do wyraźnych oznak. Ponieważ zachorowałam z dala od domu, u ludzi zupełnie obcych, mąż więc zmuszony był zabrać mnie w gorączce i przewieść koleją o 90 wiorst, gdzie 30 stycznia, przeniesiono mnie do własnego mieszkania.

Po kilkudniowej kuracyi zdecydowano zawieźć mnie do szpitala do Charkowa, gdzie po długim namyśle zrobiono operacyę pod chloroformem, dosyć ciężką na mój wiek. Przecięto mi bok na 16 centymetrów, wyjęto kawał żebra, które psuć się zaczęło — przez ranę, płuca były widoczne. Po przetrwaniu tyle podróży i operacyi, byłam bardzo osłabioną, wymizerowaną i strawioną tak długą gorączką (3 miesiące), gdy nowa choroba mnie dotknęła, dostałam róży na ranie, znowu gorączkę do 40 stopni i znowu w gorączce wyniesiono mnie do innego szpitala (dla chorych na zaraźliwą chorobę). Zdanie o groźnym stanie moim, podzielali wszyscy: — kapłan, mój spowiednik, lekarze, lekarz kobieta, krewna moja, mąż mój i otaczający mnie — wszyscy, tylko oczekiwali śmierci mojej. Mąż mój jednak, ufając przemożnemu pośrednictwu Matki Najświętszej, posłał telegram do Częstochowy, prosząc o Mszę Ś-tą na moją intencyę i oto z łaski Opiekunki naszej na Jasnej Górze jestem zupełnie prawie zdrowa (noga jeszcze dolega) i temu parę dni śpiewałam najswobodniej litanię do Matki Najświętszej. Przy pierwszej możności, pojadę, aby złożyć cześć u stóp Orędowniczki naszej na Jasnej-Górze.

Pragnęłabym bardzo, aby cud ten mógł być ogłoszony w „Dzwonku Częstochowskim” ku większej czci i chwale Matki Zbawiciela.

Z najgłębszem uszanowaniem i poważaniem sługa

Adela Zalęska.

Drugi list do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego.“ Wielebny księże Redaktorze Dobrodzieju! Ważny cel prowadził nas w progi „Dzwonka Częstochowskiego“; oto chcemy zeznać o łasce i miłosierdziu Matki Boskiej Częstochowskiej, jakie nam niegodnym nad synem naszym jednorocznym Wojciechem okazać raczyła, i prosić Wielebnego ks. Dobrodzieja, aby zeznanie to nasze wydrukować łaskawie polecił w „Dzwonku Częstochowskim", aby tenże „Dzwonek Częstochowski“ po wszem świecie odzwonił kochającym Matkę Najświętszą sercom o nowym dowodzie Jej miłosierdzia.

Syn nasz Wojtuś od dłuższego czasu konwulsyami trapiony był, z czem go poleciliśmy Najświętszej Matce Częstochowskiej, przy wypełnieniu pielgrzymki na dzień 2 sierpnia, jako w dzień Matki Boskiej Anielskiej. Nadchodzi oczekiwana pora wyjazdu, aż Wojtuś nasz zapada na konwulsye ponownie, które jednak nie przechodzą, jak dotąd, po 3 — 4 razach, lecz w ciągu 30 godzin powtórzywszy się 17 razy, tak dziecko zmordowały, że już blizkiem było skonania, o czem świadczyły: brak oddechu, oczy bielmem zaszłe, nos zimny i spocony, ręce i nogi zimne. Zwątpiliśmy o życiu jego i o pielgrzymce. Wezwany lekarz znalazł stan bardzo ciężki i wręcz prawie nie rokował nadziei. Naszykowawszy gromnicę, — pobiegłem po innego lekarza. W tym czasie właśnie, w czasie 17-ej konwulsyi, żona moja ponownie z serca całego poczęła polecać Wojtusia naszego miłosierdziu Matki Boskiej Częstochowskiej, i przyrzekać, że gdy doczekamy do rana, — z Wojtusiem tym, mimo jego ciężkiego stanu, na Jasną-Górę pośpieszymy! I wysłuchała Matka Najświętsza Częstochowska nas niegodnych i cud Swojego miłosierdzia nad Wojtusiem naszym okazała. Wojtuś usnął wkrótce, a na rano dnia 1 sierpnia r. b oczom swoim wierzyć nie chcieliśmy, widząc go do życia podobnym! Przeto na podziękowanie Matce Boskiej Częstochowskiej za widomy ten dowód Jej miłosierdzia, nam niegodnym wyświadczonego, bezwłocznie na Jasną-Górę pośpieszyliśmy, i tam też na pamiątkę tego miłosierdzia, Wojtusia Matce Boskiej Częstochowskiej na służbę poświęciliśmy, wpisując go zarazem w habit pauliński. Wojtuś dotąd jest zdrów i coby się nadal z nim nie stało, za doświadczoną już łaskę i miłosierdzie, cześć i chwała Matce Boskiej Częstochowskiej na wieki! —

Zdarzenie to spisaliśmy oddzielnie, a sam fakt ciężkiego stanu Wojtusia naszego poświadczony został przez lekarza i przez naocznych świadków.

Tylko rozszerzeniem większej czci i chwały Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz wyrażeniem najpokorniejszej naszej wdzięczności. Tejże Matuchnie Naszej za okazanie miłosierdzia Swego nad synem naszym Wojtusiem, jesteśmy powodowani pisząc te słowa i mamy nadzieję, że

Szanow. ks. Redaktor prośbie naszej pokornej łaskawie odmówić nie raczy i opis zdarzenia tego w „Dzwonku Częstochowskim swym pomieści.

Z czem polecając się Sz. ks. Dobrodziejowi zasyłamy serdeczne pozdrowienia

Jan i Maryanna małż. Szymańscy

Warszawa, Leszno 83 m. 14.

Kompanie na Jasnej-Górze Z pieśnią na ustach, z modlitwą strzelistą, z sercem przepełnionem miłością do swej Orędowniczki i Opiekunki, Królowej nieba i ziemi, która w sposób szczególny umiłowała sobie Jasną-Górę i stąd na garnące się ku Niej dziatki zlewa łask cudownych zdroje, do stóp tej Najdobrotliwszej Bogarodzicy przybyły kompanie z Kalisza, pod światłem przewodnictwem księdza Janowskiego, z Żyrardowa, pod przewodnictwem p. Andrzeja Czuba, oraz z Śląska Górnego i Austryackiego; pierwsza z Piekar Niemieckich, pod przewodnictwem p. Karola Liska, druga z Cieszyna, pod przewodnictwem p. Kohuta. Wszystkie zwracały ogólną uwagę tak wzorowym porządkiem, jak skromnem i pełnem pobożności zachowaniem się wśród licznych rzesz pątniczych.

OFIARY:

Na kościół Ś-tej Rodziny w Częstochowie.

W. Kor. w Tah. . . . . rb. 5 — kop.
J. Kucz. w Aleks. Pogr. . . . . . „ 5 — „

Na klasztor Jasnogórski.

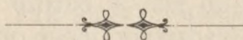
J. Kucz. w Aleks Pogr. . . . . . rb. 5 — kop.

Na powodzian.

Jahołk. w P. . . . . rb. 3, 25 kop.

Na biednych do uznania Redakcyi

Sidor. w Sar. . . . . rb. — 60 kop.



Nowiny z daleka i z blizka.

Wyjaśnienie tegorocznego Jubileuszu Nadzwyczajnego. Wiadomo, że świat katolicki, z wiedzą i wolą Jego Świętobliwości Piusa X, zaczął obchodzić z dniem 8 grudnia roku ubiegłego pięćdziesiątą rocznicę ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Do obchodu tego, pomiędzy innemi, zalicza się nabożeństwo, przepisane dla wszystkich wiernych na dzień 8 każdego miesiąca roku bieżącego, obdarzające uczestników licznemi łaskami odpustowemi. Nadto Jego Świętobliwość, celem pobudzenia wiernych do większej gorliwości w modlitwie i w spełnianiu dobrych uczynków, ogłosił Encyklikę oznajmującą iż ustanawia w roku bieżącym, z powodu rocznicy wspomnianej, Jubileusz Nadzwyczajny, który ma trwać trzy miesiące. a mianowicie: w Rzymie od d. 21 lutego do d. 3 czerwca; w pozostałym świecie katolickim termin ów trzymiesięczny oznaczyli biskupi każdy dla dyecezyi swojej. W archidyecezyi warszawskiej, w dyecezyach kujawsko-kaliskiej, płockiej, lubelskiej i sejneńskiej, Jubileusz rzeczony ma trwać przez wrzesień, październik i listopad: w dyecezyach sandomierskiej i kieleckiej od 8 września do 8 grudnia; w wileńskiej i kowieńskiej od 18 września do 18 grudnia; w żytomierskiej przez sierpień, wrzesień i październik. Żeby dostąpić odpustu jubileuszowego i łask z nim połączonych, Ojciec Ś-ty nakazuje w Encyklice: Spowiedź Ś-tą; Komunię Ś tą; trzykrotne nawiedzenie kościoła; pobożną przy tem nawiedzeniu modlitwę na intencye, wyznaczone przez Jego Świętobliwość; jeden dzień postu. Bliższe szegóły co do należnego wypełnienia tych warunków znajdą wierni w tak zwanych „Jubileuszkach“, to jest w bardzo tanich książeczkach, umyślnie z powodu Jubileuszu Nadzwyczajnego wydanych.

Rzym. Uroczyście obchodzili katolicy świata całego pierwszą rocznicę wyboru i koronacyi szczęśliwie panującego Papieża Piusa X. Jego Świętobliwość otrzymał z tego powodu niezliczony ogrom życzeń, które składano bądź osobiście, bądź piśmiennie, bądź za pomocą telegrafu. Składali one monarchowie panujący, dostojnicy Kościoła, zgromadzenia zakonne, wybitne osoby świeckie i maluczcy. Drugi rok panowania Jego Świętobliwości rozpoczął się bolesną walką, wytoczoną Stolicy Apostolskiej przez rząd francuski, przeniknięty zgrozą przejmującą bezbożnością. Ojciec Święty, jako Namiestnik Chrystusa i Głowa Kościoła, nie może pozwolić, aby rząd francuski mięszał się do spraw Władzy Apostolskiej podległych, musiał tedy walkę ową podjąć. Niewiadomo, jak długo ona potrwa, lecz wątpliwości nie ulega, że skończy się tryumfem Stolicy Apostolskiej. Mnóstwo burz wstrząsało Nawą Piotrową, mimo to żadna naruszyć jej nie mogła. Chrystus Pan rzekł do Piotra: „Ty jesteś opoką, na niej zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go.“ Słowa Boże spełniają się od wieków i spełniać się będę do skończenia świata.

= Na jednym z olbrzymich dziedzińców watykańskich, zebrali się w wielkiej liczbie robotnicy włoscy, przeważnie członkowie stowarzyszenia, którem się opiekuje kardynał Ferrata, aby złożyć hołd Ojcu Świętemu. Było ich z górą 2 tysiące, nie licząc towarzyszących im rodzin. Gdy się ukazał Ojciec Ś-ty, na tronie umyślnie w tym dziedzińcu wzniesionym, rozległy się pełne zapału okrzyki. Jego Świętobliwość dziękował serdecznym uśmiechem i z rozrzewnieniem poglądał na ten lud u stóp jego zebrany. Markiz Sachetti odczytał naprzód adres zgromadzonych, nadmieniając, że podpisało go nadto 500 tysięcy robotników, nienależących do stowarzyszenia, którzy ofiarami przyczynili się do wzniesienia pomnika dla Leona XIII.

— Wszystkie te podpisy—zauważył markiz—świadczą wymownie, że z górą pół miliona włoskiego ludu robotniczego stoi niewzruszenie przy Stolicy Apostolskiej.

Kardynał Ferrata przedstawił Ojcu Ś-mu główniejszych członków stowarzyszenia, poczem Jego Świętobliwość przemówił do „swoich ukochanych robotników.“ Więc naprzód podziękował kardynałowi za urządzenie tego zgromadzenia, wyraził radość ze zjednoczenia blizko miliona ludzi, gotowych bronić wiary świętej i Kościoła katolickiego, ale nadmienił, iż chociaż liczba to pokaźna, jednak w stosunku do ludności całych Włoch jest niewielką.

— Od was to, moi ukochani robotnicy,—mówił dalej—spodziewam się podwojenia tej liczby. Jak Dobry Pasterz z Ewangelii, który opuścił 99 owieczek, żeby odszukać jednej zbłąkanej, tak i wy powinniście

uprawiać dzieło apostolstwa między swoimi, lecz jak Chrystus—z gorliwością pełną słodyczy. Czyniąc to, każdy w swojem kółku, pozyskacie wiele i dla siebie, gdyż powiedziano, że kto dopomoże bratu swemu zbawić duszę, ten się sam zbawi.

W tej treści mówił Ojciec Ś-ty dłużej, a na Jego dobrotliwie uśmiechniętej twarzy widniał wyraz szczerego zadowolenia. Wreszcie udzielił wszystkim Błogosławieństwa, po którem znów zabrzmiały okrzyki na cześć jego.

= Komitet, urządzający Wystawę Maryjną w pałacu Lateraneńskim, żywo się krząta, gdyż wystawa ma być otwarta we wrześniu. Niech więc ci, którzy pragną w niej uczestniczyć, to jest przedstawić swoje zbiory i pamiątki, dotyczące czci Bogarodzicy, pośpieszą się z wykonaniem tego zamiaru.

= Jego Świętobliwość przesłał kardynałowi wikaryuszowi rozporządzenie, dotyczące duchowieństwa, zamieszkałego w Rzymie. Między innemi Ojciec Ś-ty żąda, aby kapłani, bawiący w Rzymie na studyach, zamieszkiwali w seminaryach lub kolegiach duchownych. To samo rozporządzenie dotyczy kapłanów innej narodowości, którzy muszą pozostawać w ścisłym związku ze swymi biskupami, to jest podlegać ich władzy.

= Z powodu ośmsetnej rocznicy istnienia w Turynie obrazu cudownego Matki Boskiej Pocieszenia, odbywają się w tem mieście uroczystości kościelne. Mają one związek z jubileuszem dogmatu Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy, gdyż dotyczą Jej czci. Arcybiskup Turynu, kardynał Richelmy, już w roku zeszłym starał się o urządzenie tych uroczystości i otrzymał od kardynała Sarto, patryarchy weneckiego, przyrzeczenie uczestniczenia w tym obchodzie. Ponieważ Ojciec Ś-ty nie może wywiązać się z obietnicy, przeto posłał w zastępstwie Swojem kardynała Vannutelliego, kardynałów Svampę, Ferrariego, Boschiego, Calliogarego, oraz wielu biskupów i prałatów. Kardynał Vannutelli ukoronuje obraz Matki Bożej wspaniałym dyademem, utworzonym z 37 brylantów, ofiarowanych przez Klotyldę księżnę Sabaudzką i córkę jej Letycyę, księżnę Aosty.

= Ojciec Ś-ty zatwierdził Towarzystwo wzajemnej pomocy, założone przez księży rzymskich i wyraził życzenie, żeby towarzystwa tego rodzaju były zakładane po całym świecie katolickim. Jednocześnie Jego Świętobliwość wydał dekret, na którego mocy wierni mogą odmawiać po modlitwach mszalnych trzy razy: „Najsłodsze serce Jezusa, zmiłuj się nad nami!“ Tym wszystkim, którzy będą tę modlitewkę



Kompania z Żyrardowa, gub. Warszawskiej, u stóp Jasnej-Góry.

odmawiali razem z kapłanem, udzielił odpustu lat siedm i tyleż kwadragen.

= W wigiłię święta Apostołów Piotra i Pawła, Papież o 8-ej godzinie wieczorem, przy oświetleniu elektrycznem bazyliki Ś-go Piotra, w otoczeniu swego dworu, odwiedził grób Ś-go Piotra i długo się modlił. Nazajutrz poświęcił paliusze, które przez noc całą leżały na grobie.

= Niedawno uzyskał posłuchanie u Ojca Ś-go pewien oficer węgierski, protestant. Zbliżywszy się do Papieża, rzekł:

— Zuchwalstwo to z mojej strony, Najświętszy Ojcze, żem będąc wyznania nie katolickiego, śmiał prosić o posłuchanie...

— A to dlaczego? — zapytał Jego Świętobliwość. — Owszem, mimo to, miałeś zupełne prawo.

Dobroć Papieża tak wzruszyła oficera, że wychodząc, oświadczył, iż pragnie należeć do Kościoła rzymsko-katolickiego.

= Studenci z Padwy, należący do Sodalicyi Maryańskiej, podczas obchodu uroczystego ku uczczeniu Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej, wysłali adres do Ojca Ś-go, w którym przyrzekają zupełną uległość postanowieniom papieskim i trwanie wierne w wierze katolickiej. Ojciec Ś-ty tak im odpowiedział: „Kochanym synom, studentom katolickim uniwersytetu padewskiego, należącym do Sodalicyi Maryańskiej, łącząc serdeczne uznanie za ich stałość w wierze i życzenie, aby ich przykład wymowny był bodźcem dla innych, mniej gorliwych i obojętnych, do połączenia się pod wzniosłym sztandarem Chrystusa i Niepokalanie Poczętej, udzielamy z całego serca Apostolskie Błogosławieństwo. Watykan, 17-go maja 1904 r. *Pius, Papież, X ty.*"

= We wszystkich kościołach archidyecezyi lwowskiej odczytane zostały z ambony dwa listy pasterskie arcybiskupa Bilczewskiego, poświęcone pielgrzymce polskiej do Rzymu. W pierwszym liście mówi ks. arcybiskup o własnych wrażeniach swoich i o rozmowie z Ojcem Ś-tym; w drugim zawarł opis posłuchania pielgrzymów. Z pierwszego listu dowiadujemy się, że Pius X rzekł do ks. arcybiskupa Bilczewskiego:

— Ludność polska nigdy nie była dla Stolicy Ś-tej krzyżem, jeno pociechą, więc i na przyszłość tylko radością napełniać będzie serca Papieży.

= Czytelnicy wiedzą, że na plac boju podążył, z Siostrami Miłosierdzia, służbą lekarską i szpitalem przenośnym, ksiądz Wacław Wy-

rzykowski, aby uczestnikom wojny katolikom udzielać pomocy religijnej. Otóż kapłan ten przysłał list do kolegów-kapłanów, datowany 11 czerwca, z którego wyjmujemy ustępy ogół obchodzące. Pisze tedy ks. kapelan: „Kreślę ten list zbiorowo, gdyż jestem obarczony nawałem pracy, więc w poszczególną korespondencyę bawić się nie mam czasu. Donoszę Wam, moi drodzy, że do Lao-janghu (Laojanu) przybyłem szczęśliwie. Podróż miałem połączoną z wielu niewygodami. Od stacyi Tanhaj do stacyi Mandżurya jechałem IV-tą klasą, ale w dość przyzwoitem towarzystwie. Następnie do Lao-janghu w klasie III-ej miałem lekarza rodaka, jadącego z Moskwy. Bufety na stacyach syberyjskich są obrzydliwe. Jedzenia porządnego, prócz zakąsek po wódce, nie można dostać. Obiady wstrętne, ale za to drogie. Podróż moją urozmaicała ustawiczna zmiana panoramy. Najsilniejszych wrażeń doznawałem przejeżdżając przez Ural, jezioro Bajkalskie i góry Chingańskie. Na stacyi Mandżurya zatrzymałem się dwie doby, wskutek próśb katolików tamtejszych. Ochrzciłem troje dzieci, odprawiłem Mszę Ś-tę, a nawet nabożeństwo majowe. Wszyscy odbyli spowiedź wielkanocną. Doznałem od naszych rodaków serdecznego przyjęcia. Po przybyciu do Lao-janghu i przedstawieniu się władzy, otrzymałem kwaterę w fanzie chińskiej i służącego Chińczyka. Jest tu kaplica i Misyonarz francuski Natychmiast złożyłem mu wizytę. Poczciwy O. Corbel usilnie mnie prosił, aby u niego zamieszkać. Chętnie się zgodziłem, powiadomiwszy wprzód władzę o zmianie kwatery. Misyonarz rzadko w Lao-janghu przebywa; przeważnie jeździ po wsiach okolicznych do swoich parafian, których liczy 2,500. Wogóle pędzimy życie koczownicze, ale tak się urządzamy, żeby zawsze jeden był tutaj w niedzielę, dla odprawienia Mszy Ś-tej. Pracy nawał, ustawicznie prawie jestem podróży. Tylko pierwszy cały tydzień pracowałem w Lao-janghu, mając każdodziennie 80 do 100 żołnierzy spowiadających się. W niedzielę, na Ś-tą Trójcę, wyspowiadałem 153. O. Corbel włada językami: francuskim, niemieckim i chińskim (ze sobą rozmawiamy po niemiecku), żołnierzy przeto spowiadać nie może. Na kilka dni przed moim przyjazdem udzielił pewnej grupie żołnierzy, udających się na plac boju, jeneralnej absolucyi, przyczem wypowiedział krótką naukę, którą na rosyjski przetłumaczył pewien Francuz wojskowy. Kupiłem sobie konia za 135 rs. i osła za 9 rs. Na osła wkładam cały mój kościół, to jest ołtarz przenośny i aparaty, oraz rzeczy niezbędne. Dobre ośliska samo biegnie za koniem. Towarzyszy mi służący. Często noc nas zastaje w głuchej, nieznanej wsi, lecz prawie w każdej znajdzie się kilka rodzin katolickich. U jednej z nich przenocowuję, chociaż wolałbym pod gołem niebem, gdyż w fanzach chińskich mnóstwo wstrętnego robactwa. Porozumiewam się słabą chińszczyzną, nabytą od O. Corbela, a częściej ge-

stami. Dziwią się, że ja taki młody, bez brody i już jestem księdzem. Wogóle Chińczycy katolicy przedstawiają mi się bardzo sympatycznie; obawiam się tylko Chunchuzów, rozbójników, którzy się tu całemi bandami włóczą. Upały tu straszne. Termometr wskazuje 26 do 28 stopni w cieniu, a na słońcu do 36 stopni. Wiatry, często się zrywające, nie chłodzą, a zamieniają się w istną zawieruchę. Unosząc kłęby piasku ostrego, sieką nim po twarzy, tamując oddech, oślepiając oczy. W takich warunkach podróż nie należy do przyjemnych. Z tego, że mam dużo pracy, połączonej z niewygodami, cieszę się, odczuwając wewnętrzne zadowolenie. Ale tęsknota za krajem ogarnia mnie często. Jeszcze więcej tego bolesnego uczucia doznaje doktor Rzepko z Warszawy, z którym się bliżej zapoznałem. Wyrusza on teraz na plac boju z ambulansem. Kresem moich konno-oślich wycieczek są: Mukden i Niuczwang. Lecz ponieważ wielu katolików żołnierzy znajduje się na polu działań wojennych, uważam, że obecność moja jest tam potrzebną. Podałem więc prośbę do głównodowodzącego o pozwolenie na dalsze rozjazdy dla niesienia pociech religijnych, chociaż właściwie i tu jest wiele do roboty, gdyż stąd wyruszają wojska na wskazane pozycye, a nowe z Cesarstwa wciąż napływają."

= Dnia 26 czerwca odbyła się w Wilnie podniosła uroczystość: ingres czyli objęcie osieroconej wileńskiej stolicy biskupiej przez J. E. ks. biskupa Roppa. W uroczystości uczestniczyły niezliczone tłumy wiernych, które już od wczesnego rana zaczęły wypełniać całą dzielnicę, przylegającą do dworca kolejowego oraz ulicę Ostrobramską i Wielką, z rozległym placem Katedralnym, a po godzinie 9 tworzyły jedno wielkie morze, oczekujące z upragnieniem chwili, w której ujrzeć będzie mogło oblicze swego nowego pasterza. Pogoda sprzyjała. Słońce szybko osuszało ślady ostatniej ulewy nocnej, a wiatr pędził po niebie rzadkie i drobne obłoczki, odsłaniając głęboki błękit. Na dworcu kolejowym ścisk niesłychany. Pociąg, wiozący nowego dostojnika, spóźnił się znacznie, przeszło o godzinę i dopiero o 10 stanął w Wilnie. Z ks. biskupem wysiedli: jego kapelan, ks. Bem z Saratowa, oraz delegaci duchowieństwa wileńskiego: ks. prałat Hanusowicz i ks. kanonik Sadowski, którzy aż do Święcian wyjechali na powitanie swego pasterza. Kareta ks. Frąckiewicza, dotychczasowego administratora dyecezyi, zaprzężona w parę pięknych koni, oddawna oczekiwała przed dworcem. Ks. biskup wsiadł do niej ze swoim kapelanem i wśród szpalerów olbrzymiego tłumu, udał się ulicą Ostrobramską ku kaplicy, mieszczącej cudowny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej.

U wejścia do kościoła powitał ks. biskupa proboszcz miejscowy, ks. Sawicki, a wikary, ks. Żebrowski, odprawił Mszę Ś-tę. Następnie

ks. biskup udał się znów karetą do katedry. Wszystkie ulice, prowadzące do Wielkiej, zamknięte już były dla przejazdu od paru godzin. Około katedry widać było jedną olbrzymią falę głów ludzkich. W przedsionku katedry ks. biskup przybrał się w odpowiednie szaty, poczem, już ubrany, stojąc pod baldachinem, powitany został przez dotychczasowego administratora dyecezyi, ks. Frąckiewicza. Odpowiedziawszy zwięźle na to powitanie, przy odgłosach hymnu: „Ciebie Boga chwalimy,“ udał się do kaplicy Ś-go Kazimierza, dla adoracyi Przenajświętszego Sakramentu, a następnie, przy odgłosach hymnu: „Oto kapłan wielki,“ przeszedł do prezbiteryum, gdzie zasiadł na przygotowanym tronie. Ogromna świątynia była przepełniona wiernymi. Dokoła ołtarza głównego i w prezbiteryum widać było tylko księży, którzy zjechali się na uroczystość bardzo licznie z całej dyecezyi. Na wprost tronu urządzone było wzniesienie dla obywateli miejskich i ziemskich.

Po przejrzeniu przez kapitułę bulli papieskiej, nowy biskup wileński złożył przysięgę, następnie ks. prałat Hanusowicz, w towarzystwie dwóch kleryków, wszedł na ambonę i bullę odczytał głośno. Z kolei ks. biskup odbierał hołd, składany przez ucałowanie ręki; hołd składali kapituła, kanonicy, proboszczowie, wikaryusze i obywatele. Teraz ks biskup udał się na ambonę, w towarzystwie subdyakona, prałata ks. Bajki, kanoników honorowych — ks. Czerniawskiego i ks. Wołodźki, oraz ceremoniarza, ks. profesora Lubiańca. Ks. Czerniawski, inspektor seminaryum duchownego, odczytał przypadającą na ten dzień Ewangelię, a ks. biskup przemówił raz pierwszy do nowych swoich dyecezyan. Rozpoczął od starego powitania: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ na co wierni wielkim głosem odpowiedzieli: „Na wieki wieków. Amen.“ Nowy pasterz nakłaniał słuchaczy do życia prawdziwie katolickiego, na to główny kładąc nacisk, że katolicyzm powinien ujawniać się w czynach a nie w słowach. Zwracał uwagę rodziców na wychowanie dzieci, na konieczność wszczepiania w młode umysły pojęć religijnych. Prosił, żeby słuchacze roznieśli jego słowa po całej dyecezyi. Wreszcie piękne przemówienie znów skończył prastarem: „Niech będzie pochwalony,“ a słowa te powtórzył i po litewsku: „Tagul bus pogarbintus Jesus Chrystus.“ Z ambony wrócił na tron, przewdział szaty do Mszy Ś-tej i odprawił ją przy asyście księży Czerniawskiego, Wołodźki oraz kleryków. Po nabożeństwie błogosławił wiernych i udzielił im odpustu.

Nadmienimy, że porządek w kościele utrzymywała straż obywatelska, a świątynię przystroił ks. prałat Kurczewski, przy pomocy artysty-malarza, Stanisława Jarockiego.

Z katedry udał się pasterz do pałacu biskupiego, gdzie podejmował śniadaniem duchowieństwo i wybitniejszych obywateli.

Zanotujemy jeszcze, że kapelanem ks. biskupa będzie ks. Nowicki, jeden z kapłanów wileńskich najbardziej popularnych i kochanych przez ludność.

Nowe cuda w Lourdes. Im bardziej sroży się we Francyi bezbożność tamtejszego rządu, depcąc najdroższe i najświętsze zabytki i zdobycze wiary, tem goręcej zwracają się serca ludu wierzącego do jedynego źródła, z którego przyjść może ratunek, — do Boga. Nigdy jeszcze takie tłumy nie spieszyły do świętej groty w Lourdes jak teraz, gdy jej grozi rządowa konfiskata. Niedawno zebrało się tam 40 tysięcy pielgrzymów, cyfra dotychczas niebywała. Wzruszającym zwłaszcza do głębi był widok mnóstwa chorych i nieuleczalnych kalek, śpieszących na szczudłach, noszach lub ręcznych wózkach do źródła cudownego, ze łzami, modlitwą i pełną ufności nadzieją, zanim jeszcze rząd postawi przy grocie i sadzawce żandarmów, aby spisywali z pobożnych pątników protokóły. Nigdy też może uleczenia i wyzdrowienia cudowne nie były tak liczne i tak zdumiewające. Przytaczamy niektóre z tych rozrzewniających zdarzeń:

Uzdrowioną została Antonina Pervet, znajdująca się w ostatnim stopniu suchot. Panie: Hortensya Irle i Alicya Montier, sparaliżowane od dzieciństwa na obie nogi, mogą teraz biegać i długie podróże odbywać bez utrudzenia. Antonina Cuffay, od lat 15 niema, mówi teraz doskonale. Panie: Delbes, Fleury, Joindot uleczone zostały z długoletniego sparaliżowania. Artur Frevotte, który po 14 miesiącach, spędzonych w łóżku, był już umierający na suchoty w kiszkach, tak, że komitet pielgrzymki obawiał się go zabrać, aby nie umarł w drodze, zdrowie i siły odzyskał.

Więcej niż stu lekarzy badało te uzdrowienia i stwierdziło ich cudowność. Między nimi byli słynni specyaliści; byli bezbożnicy, którzy po to jedynie przyjechali do Lourdes, aby wydrwić wiarę w Boga, w cuda. A jednak i oni musieli skłonić głowę przed świadectwem niezbitem.

Kto zna urządzenie w Lourdes, ten wie, że porządek i ścisłość są tam posunięte do najwyższego stopnia, a to dlatego, aby usunąć najlżejszy nawet cień podejrzenia o podstęp jakikolwiek. Chorych, przybywających do Lourdes, owej francuskiej Jasnej-Góry, bada naprzód komisya lekarzy, aby sprawdzić stan ich przed możliwem uzdrowieniem. Po uzdrowieniu badanie powtarza się i jedynie na podstawie opinii tej komisyi następuje uznanie uzdrowienia za cudowne. Badania są bardzo ścisłe, bardzo drobiazgowe, trwają bardzo długo. Ale ta ścisłość i drobiazgowość nadaje uznanym za cudowne uzdrowieniom powagę niczem niezbitej prawdy i zamyka usta potwarzy.

Ze Lwowa. Program Kongresu Maryańskiego, przedłożony w dniu wczorajszym przez komitet Kongresowy, zyskał w zupełności aprobatę J. E. ks. arcybiskupa d-ra Bilczewskiego.

Przedstawia się on ostatecznie jak następuje:

Dzień 27 września (wtorek). Godzina 9 wieczorem. Zebranie w salach Kasyna miejskiego, urządzone staraniem Sodalicyi Maryańskich.

Dzień 28 września (środa). Godzina 9 rano. Uroczyste nabożeństwo w archikatedrzę celebrowane przez ks. arcybiskupa d-ra Bilczewskiego. Kazanie wygłosi ks. biskup d-r Pelczar. Godzina 11. Zagajenie Kongresu i pierwsze plenarne posiedzenie w salach Filharmonii. Godzina 3 — 6½. Posiedzenie sekcyjne. Godzina 7½. Akademia literacko-muzyczna w teatrze miejskim.

Dzień 29 września (czwartek). Godzina 8 rano. Cicha Msza Ś-ta w Archikatedrze. Godzina 9 — 1. Posiedzenia sekcyjne. Godzina 4. Procesya rzymska z cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny łaskawej z kościoła archikatedralnego na rynek pod przewodnictwem całego episkopatu galicyjskiego. Godzina 7½. Drugie plenarne posiedzenie w salach Filharmonii i zakończenie Kongresu.

Dzień 30 września (piątek). Dzień Sodalicyi Maryańskich, co do którego bliższe szczegóły podane będą do wiadomości członków Sodalicyi.

Komitet rozpoczął właśnie wydawanie książeczek czekowych na wszystkie punkta uroczystości oraz przyjmuje zamówienia na pozostałość w małej już tylko ilości bilety na Akademię literacko-artystyczną.

Zachodzi obawa, iż największa we Lwowie sala Filharmonii nie zdoła pomieścić uczestników Kongresu zgłaszających się zewsząd z dniem każdym w coraz poważniejszej liczbie.

W odpowiedzi na nadchodzące zapytania nadmienia komitet, iż na posiedzeniach plenarnych, oprócz dostojników krajowych, będą przemawiali księża arcybiskupi i biskupi Bilczewski, Teodorowicz i Pelczer prezes Akademii umiejętności prof. Tarnowski, prof. Milewski, imieniem Sodalicyi dr. Przygodzki, dalej przedstawiciel stanu włościańskiego i prawdopodobnie Sienkiewicz.

Adres Komitetu Kongresowego, który urzęduje obecnie bez przerwy: Lwów, ul. Jagiellońska l. 3 (biuro Sodalicyi Maryańskich).

W pierwszym dniu Kongresu Maryańskiego w sali teatru miejskiego, przy współudziale personelu teatralnego, Towarzystwa muzycznego, chórów „Lutni“, „Echa“, akademickiego, orkiestry operowej i kapeli 15 pułku piechoty, odbędzie się akademia literacko-artystyczna. Lucyan Rydel wykończył właśnie i złożył już do wykonania swoje misteryum. Komitet ma też w ręku umyślnie napisane kompozycye: Władysława Żeleńskiego, Mieczysława Sołtysa, Henryka Jareckiego, Józefa



Kompania z Piekar Niemieckich, z Górnego Śląska, u stóp Jasnej-Góry.

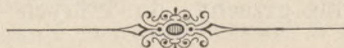
Nowialisa, ks. Józefa i Mieczysława Surzyńskich, które obok utworów czci Matki Boskiej poświęconych z wieków XVII, XVIII i XIX, złożą się na ten dzień uroczysty. Zgłaszający się w dalszym ciągu uczestnicy Kongresu mogą zamawiać pozostałą jeszcze część biletów w biurze Kongresowem przy ul. Jagiellońskiej l. 3.

Pierwsza pielgrzymka polska do Jerozolimy. Pierwsza zrzeszona pielgrzymka polska do Ziemi Świętej ma wyruszyć z Warszawy w roku przyszłym 1905, na początku Wielkiego Postu, pod przewodnictwem p. Adama Koziarskiego, dotychczasowego przewodnika pielgrzymek do Rzymu, Wilna i Jasnej-Góry. W celu ułożenia ostatecznego planu podróży i oznaczenia kosztów utrzymania, p. Koziarski wyruszył w długą podróż do Jerozolimy, aby po powrocie swoim, w m. listopadzie, przystąpić do organizacyi pielgrzymki i udzielania objaśnień osobom interesowanym. (Warszawa, Nowy-Świat 49, gdzie zakład Ś-ej Marty, od g. 12 do 4 po południu).

W program podróży p. K weszły: Odessa, Bosfor, Konstantynopol, Peru, Dardanelle, Smyrna, Chios, Trypolis, Beyrouth, Jaffa, Jerozolima, Betleem, Emaus, Jordan, Puszcza Ś-go Jana i miejsce urodzenia, Ogrójec, Góra Oliwna, Kalwaria, Golgota, Grób Chrystusa, Ramleh, Góra Tabor, Góra Karmel, Nazareth, Klasztor OO. Trapistów, Genezareth, morze Martwe, Dolina Józefata, Jerycho, Ogród Getsemański, wreszcie: Aleksandria, Port-Said, Kair, stolica Egiptu w Afryce, morza: Śródziemne i Czarne i t. d.

Koszt dzienny w podróży tej po trzech częściach swiata, z utrzymaniem całodziennem, koleją, okrętem, łódkami, osiołkami, furmankami, hotelami, napiwkami, usługą, tragarzami, składowem, przewodnikami, pasportem i wizami konsulów, obliczony przeciętnie po rb. 6 blizko za klasę III i 8 rb. 50 kop. za klasę II; klasa I z pielgrzymki wyłączona.

Pielgrzymka potrwa od 6 do 9 tygodni, zależnie od ilości zwiedzanych miejsc. Zapisy trwać będą w Warszawie (Nowy-Świat 49) od d. 15 listopada do 15 grudnia r. b. Przy zapisie obowiązuje zadatek 25 rb. od osoby. Do listów należy dołączać markę 7 kopiejkową na odpowiedź.



NIE ZABIJAJ!

II.

Przez pijaństwo nietylko poniża człowiek w najpodlejszy sposób swą godność, podobieństwo obrazu Bożego w sobie zacierając, nietylko podkopuje głupio i niemiłosiernie swe zdrowie — i majątek, nietylko wyrabia w sobie rozmyślnie nałóg, z którego powstać tem trudniej, im dalej się w nim zabrnie, ale nadto popada w inne grzechy, występki i zbrodnie.

Jak kamień wpadający do wody tworzy na powierzchni mniejsze i większe koła, tak i pijaństwo pociąga za sobą niezawodnie wszelaką niecnotę i wiedzie do mniejszych i większych grzechów. Pijaństwo nigdy nie idzie samo, ale zawsze w parze z innymi występkami. Kto czyta, choćby raz na tydzień, jaką gazetę, może być pewnym, że znajdzie tam wiadomość o krwawej bójce, zabójstwie, podpaleniu dokonanem przez pijaka w podnieconym stanie. Mury więzienne mieszczą w swem wnętrzu prawie wyłącznie pijaków i pijaczki, których ten zgubny nałóg przywiódł do zbrodni, a w izbach sądowych starają się oni często usprawiedliwić, lub zmniejszyć przynajmniej swą winę, w ten sposób, iż sami wyznają, że działali w stanie nietrzeźwym. Spowiednik, mający przed sobą w konfesyonale pijaka, nigdy się nie omyli, jeżeli go pytać będzie i o inne grzechy, do których nadużycie trunków niechybnie prowadzi.

I tak staje się ono powodem zaniedbywania obowiązków religijnych. Dzień świąteczny, — przeznaczony prawem Bożem na modlitwę, słuchanie Mszy świętej i kazania, na potrzebny odpoczynek po pracy i rozrywkę godziwą, zamienia pijak w dzień zgorszenia i obrazy Bożej. Ileż to razy się zdarza, że robotnik oddany temu nałogowi, otrzymawszy

w sobotę tygodniową zapłatę, tak się gorzałką uraczy, iż przez całą niedzielę i święto chce niby z innymi pójść do kościoła, ale, idąc za podszeptem namiętności i złego ducha, wstąpi przed nabożeństwem do karczmy, lub szynku, pod pozorem, że chce tam rachunki wyrównać, kupić cygaro, lub napić się kieliszek wódki „na żołądek“; wypiwszy jeden, prosi o drugi, potem o trzeci — i z karczmy już nie wychodzi aż po południu lub wieczorem. W ten sposób dzień świąteczny, dzień służby Bożej, staje się dla niego dniem pijaństwa z ogromną szkodą dla duszy i zgorszeniem dla drugich.

Pijaństwo podkopuje zazwyczaj czwarte przykazanie Boże: dzieciom cześć względem rodziców odbiera, rodzicom łzy smutku i boleści wyciska, napełnia domy chrześcijańskie przekleństwami i niezgodą i w istne piekło je zamienia. Razu pewnego ojciec, słysząc syna przeklinającego, zwrócił mu uwagę na to, że Pan Bóg wszystko słyszy. „Czy w rzeczy samej? — pyta syn — czy Pan Bóg i widzi wszystko?“ „Tak jest“ — odpowiada ojciec. — „O! to w takim razie widział cię Pan Bóg wczoraj, ojcze, pijanym.“

Przy pijaństwie wszczynają się kłótnie, swary, wzajemna obraza, bójki i długoletnie gniewy. Przy kieliszku bowiem „rozwiązuje się język“, — jak ludzie mówią, obmawia się drugich, sieje się plotki i niezgody, narzeka się na Pana Boga, prawi się bluźnierstwa. Przy kieliszku najłatwiej pociągają źli ludzie niedoświadczonych do niewiary i bezbożności. Przy kieliszku i herbacie z rumem najłatwiej „dla zabawy“ namówić do gry w karty, która wiedzie do utraty krwawo zarobionego grosza.

A ileżto z młodzieży, dziewcząt i chłopców, zwabionych muzyką i tańcem, traci przy kieliszku niewinność! Bo pijaństwo podnieca brzydkie myśli i żądze, wiedzie do rozmów i piosnek plugawych, a w końcu do grzesznych uczynków! Sławny kaznodzieja, misyonarz i apostoł wstrzemięźliwości wśród ludu polskiego, ks. Antoniewicz, powiada, że najnieszczęśliwsze małżeństwa zawiązują się tam, gdzie się narzeczeni przy kieliszku poznali i zaprzyjaźnili: bo niezgoda, wzajemna pogarda i nienawiść stają się zazwyczaj udziałem takiego stadła.

W karczmie, przy kieliszku, szukać najczęściej należy początku nieprawych i niegodziwych procesów, do których umieją zręcznie zachęcić t. zw. „pokątni doradcy.“

Największe zbrodnie rodzą się zwykle z pijaństwa. Chęć zemsty, kończąca się podpaleniem lub zabójstwem, znajduje najlepszą podnietę w kieliszku. Bo to, coby się po trzeźwemu wydało czynem potwornym, wydaje się po pijanemu, jakby koniecznem i sprawiedliwem.

Pijaństwo wreszcie wiedzie prostą drogą do bezbożności, zwątpienia o miłosierdziu Bożem, rozpaczy, a nieraz i do samobójstwa. Pijak

nałogowy do spowiedzi nie pójdzie, bo wie, że rozgrzeszenia nie dostanie, dopóki się grzesznego nałogu nie wyrzeknie. A czując, że z jego duszą i sumieniem źle, wmawia w siebie, że piekła i Boga niema, szuka uspokojenia w złych towarzystwach i książkach; a wreszcie widząc, że jest ciężarem dla siebie i rodziny, pośmiewiskiem znajomych; czując się niezdolnym do pracy i spełniania obowiązków, sądzi, że niema już dla niego ratunku, ni zbawienia, i umiera w rozpaczy bez Sakramentów Świętych, lub własną ręką kładzie koniec nędznemu życiu.

Któż o takich wypadkach nie słyszał, lub nie czytał? Wielu z nas na własne oczy je widziało.

Niechże więc te smutne skutki pijaństwa będą dla nas zachętą do trzeźwości, niech nas napełnią stanowczym wstrętem przed tym obrzydliwym nałogiem, który wiedzie przez smutne i gorzkie życie do smutniejszej jeszcze, bo wiecznie nieszczęśliwej wieczności, wedle onych słów Bożych: „Pijanice nie posiądą królestwa niebieskiego.“

III.

„Największem złem społecznem, pożerającem soki żywotne ludu, jest coraz więcej rozszerzające się pijaństwo. Jest to otwarta rana, z której ludzkość się zakrwawi.“ Tymi słowy rozpoczął kardynał Manning w Londynie wielkie zebranie towarzystwa wstrzemięźliwości.

Pijaństwo niszczy ciało i duszę. Pijaństwo rujnuje szczęście niezliczonych rodzin.

Jest wielka różnica pomiędzy pijaństwem a upiciem się. Upicie się jest tylko przejściowe, które może się zdarzyć, jeżeli pijący siły napoju nie zna. Nie powinno się to zdarzać, lecz może się zdarzyć. Pijaństwo zaś jest to nałóg picia. Pomiędzy pijakami można dwie klasy odróżnić. Nasamprzód takich, którzy tak długo piją, aż z krzesła spadną pod stół. Ci poznawają swój stan i oskarżają się na spowiedzi. Drugą klasę stanowią pijący z przyzwyczajenia. Ci nie poznawają swego stanu opłakanego. Piją oni cały dzień, rano w południe i wieczór. Wskutek ciągłego picia mogą oni „dużo znieść“. Ci rzadko są tak pijani, aby stracili przytomność, zwykle atoli są podchmieleni, nie poznają więc swego stanu opłakanego i zatracają zbawienie wieczne. Ś. p. kardynał Manning powiedział pewnego razu: „Pijaństwo nie jest tylko jednym grzechem ciężkim, lecz każdym, gdyż popycha ono człowieka do przestąpienia przykazań Bożych.“ Pijaństwo jest przyczyną wielkiego wzrostu liczby zbrodni. Nasze stulecie można nazwać stuleciem domów karnych. Wielkie domy karne, wybudowane w ostatnim czasie

w licznych miastach, już nie wystarczają. Jeżeli wejdziemy do domu karnego i jakiego nieszczęśliwca zapytamy: „Za coś jest tu?“ to nam jeden odpowie: „Za kradzież“, drugi: „Za występek przeciw moralności“, trzeci: „Za zabójstwo“. Jeżeli pytamy dalej, co go do tego popchęło, to odpowie: „Zacząłem pić, dostałem się w złe towarzystwo, i tak przez pijaństwo upadłem coraz niżej, aż dostałem się do tego domu hańby.“

Pijaństwo popycha człowieka do bezbożności. „Ciężkie życie, ciężka praca, ciężka śmierć, lecz po ciężkiem życiu, ciężkiej pracy i gorzkiej śmierci iść do piekła, jest pewnie bardzo gorzko i ciężko.“ Pijaństwo toruje drogę do piekła, a jest ona pewnie najszersza z wszystkich dróg.

Pijaństwo zabija ciało i duszę. „Nie zabijaj!“ *Pijaństwo jest powolnem samobójstwem.* Pijak spożywa wielką ilość alkoholu, tak, że całe ciało nim przesiąknie. Wskutek tego jest organizm pijaka bardzo osłabiony i nie może na wypadek choroby jej się oprzeć, tylko znajduje przedwczesną śmierć. Pijaństwo zabija duszę, bo dopóki człowiek oddaje się pijaństwu, dusza jego jest martwa, gdyż człowiek sobą rozporządzać nie może. Przyjrzyjmy się napiłemu. Gdzie ma on rozum? Nie może swych myśli skupić, nie może nawet mówić, tylko plecie trzy po trzy, a co drugie słowo—to przekleństwo. Gdzie została wolna wola człowieka? Toć nie może on na nogach ustać, a najszersza ulica jest dla niego za wązka i długo nie trwa, a leży on bez zmysłów w rynsztoku. Dobrze jeszcze, jeżeli go ludzie podniosą i do domu zaprowadzą. Lecz cóż stanie się z pijakiem, jeżeli na polu w zimie padnie bez zmysłów? Zmarznie tam, niż go ludzie odszukają. A cóż stanie się z jego duszą nieśmiertelną? Idzie w grzechu przed tron sędziego niebieskiego. O, jak okropnie musi to być...

Pijaństwo niszczy szczęście rodzinne. Biedę i nędzę znajdujemy zwykle u pijaków. O, jak smutnem jest, że ojciec niejeden całotygodniowy zarobek zaniesie do karczmy, a matka z dziećmi płacze w domu, drżąc z głodu i zimna. Czyż pijak taki okazuje żonie zaprzysiężoną przed ołtarzem miłość? Czyż zwierzę nawet nie stara się o pożywienie dla swych młodych? Czyż nie marnuje taki ojciec moralnie i fizycznie swych dzieci? Bóg przeznaczył ojca dzieciom na zastępcę swego, lecz pijak chyba dyabła im zastępuje. Strąca on własne dzieci na dno wiecznego potępienia.

Straszne są skutki opilstwa i obżarstwa; przeciwnie trzeźwości i mierności błogiej. Trzeźwość, krótka uczta daje długie życie i zdrowie. Ciężko grzeszą ci, co ślubowali, że wódkę porzucą i jej więcej w usta nie wezmą, a jednak się do niej wracają i ją piją.

(D. c. n.)

Książki nadesłane do Redakcyi.

Wyszła z druku książka do nabożeństwa pod tytułem:

„Maryo Niepokalanie Poczęta, módl się za nami!“

ułożona przez ks. Aleksandra Majewskiego, dziekana włoszczowskiego. Książka ta oprócz modlitw, zebranych starannie na cały rok, zawiera wiadomość historyczną o cudownej Matce Boskiej Włoszczowskiej, o samej Włoszczowie, kościołach, pomnikach, a także spis proboszczów parafii włoszczowskiej od najdawniejszych czasów.

Czysty zysk z rozprzedaży tej książki Szanowny Autor przeznaczył na pogorzelców Włoszczowy. Cena w oprawie 90 kop. bez oprawy 60 kop., bez przesyłki pocztowej.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach nowa powieść historyczna *Michała Synoradzkiego* p. t.

„Potępieńcy“,

2 tomy, cena rb. 3.

Pod prasą tegoż autora powieści historyczne: „Wychrzta“, „Hetmani“, „Jaksa z Miechowa“.

Dawniej wydane tegoż autora powieści historyczne: „Hanka Czarownica“, „Konkury Pana Podkomorzyca“, „Sąsiad z Ruszczyc“, „Kucina Milica“, „Rogata Dusza“, „Czarny Rok“, „Szaraczki“, „Zatrute Owoce“, „Muszkieterowie Króla Jegomości“.

Dla młodzieży: „Żeglarz nad Żeglarze“, „Przygody Towarzysza Pancernego“, „Wśród Indyan“, „Dożynki“ (komedyjka w 2 aktach).

Dla ludu: „Biskup Chiński“, „Zbrodnia Kasztelana“.



Kompania z Cieszyna, z Śląska Austryackiego, u stóp Jasnej-Góry.

Od Redakcyi.

W-nemu P. Stef. Zmr. w Berd. Dziękujemy za pamięć. Przesyłkę otrzymaliśmy. O wiadomości prosimy.

W-nemu P. Bol. B. w Łuk. „Dzwonek Częstochowski“ wysyłamy w dalszym ciągu. Za dowody życzliwości dla naszego wydawnictwa szczerze dziękujemy.

Szanownemu ks. Ant. Rad. w Wierzb. Życzenia Wasze, aby Matka Boska Częstochowska wspierała nas w dalszej pracy, przyjmujemy wdzięcznem sercem.

Szanownemu ks. J. Szost. w B. Daj, Boże, aby owoc duchowny, jakiego nam życzycie z pracy naszej, był jak najobfitszy, co jedynie może się uskutecznić przy pomocy zacnych duszpasterzy.

Szanownemu ks. Wład. Kos. w Jam. „Jubileuszkę“ ks. Brykczyńskiego wysłaliśmy natychmiast. Bóg Wam zapłać za szczere życzenia pomocy Bożej.

W-nemu P. Stan Kr. w Dorosz. 2 rb. 40 kop. otrzymaliśmy. Bardzo nas cieszy wiadomość o uznaniu dla naszej pracy.

Szanownemu ks. J. Sz. w Łas. Prenumeratę roczną otrzymaliśmy. Za życzenia łask Boskich i powodzenia w dalszej pracy serdecznie dziękujemy.

Szanownemu ks. Szpot. w Wys. Przekaz otrzymaliśmy — dziękujemy. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1905 r.

W-nemu P. J. Prus. w Od. Rachunek uregulowany łącznie z prenumeratą po dzień 1 stycznia 1905 r.

W-nej Pani J. Jarm w Pruż. Prenumerata obu egzemplarzy opłacona do 1 października r. b.

W-nemu P. W. Mał. w Minneapolis. Przekaz otrzymaliśmy.

W-nemu P. J. Lip. w Brooklyn. Rb. 6 kop. 30 otrzymaliśmy. Rachunek za premia i tegoroczną prenumeratę uregulowany.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Kto życzy sobie odbierać „Dzwonek Częstochowski“ w r. 1904, raczy zawiadomić nas jaknajwcześniej, choćby paru słowami, na karcie pocztowej. Da nam to możność obliczenia, ile egzemplarzy „Dzwonka Częstochowskiego“ potrzeba będzie drukować w tym roku, a Szanownych Prenumeratorów uchroni od przerwy w odbiorze pisma.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną-Górą.

